

Opłata pocztowa uliszczona rycałtem

WIAS



TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI Łódź, 14-21 sierpnia 1949 r. Nr 33-34 (212-213)

W NUMERZE

S. Petőfi — Vajda Hunyadi; Węgierski szlachcic (wiersze)
 E. Nizurski — Pierwsze pokolenie socjalistyczne
 L. Budrecki i W. Jedlicki — Pięćdziesiąt lat polskiego
 Roman Zimand — Buchalteria kapitalizmu „kwitnącego”
 H. Balzac — Kontrakt ślubny
 P. Daix — Balzak dzisiaj
 F. Engels — O Balzaku
 A. Kamińska — „Rewolucja oświaty” w Galicji
 L. Łakomy — Rozmowy na Wzdole
 Z. Rzeplińska — Jean Jaurès
 J. Jaurès — Z „Pism politycznych”
 M. Kościńska — Pod płóciennym kapeluszem
 F. Różewicz, J. Miller — wiersze
 F. Nowak — Młodzież w kręgu gminy
 M. Minias — Dojrzałość do zawodu i środowiska
 S. Marczak - Oborski — Dwie komedie
 S. Dąbrowski — Zapomniana powieść o wsi
 W. Wiejski — Czytelnictwo w Jarosławcu

Roger Garaudy

Watykan — mocarstwo kapitalistyczne¹⁾

Politika Watykanu jest uwarunkowana względami natury politycznej, a nie religijnej. Arcykapłan rzymski rozporządza w dzisiejszym świecie kapitalistycznym władzą świecką, która da się porównać z władzą Innocentego III w świecie feudalnym XIII wieku. Polityka Watykanu ma na względzie świeckie interesy Kościoła rzymskiego, a nie promieniowanie duchowe wiary.

Dzisiejsi papieże kontynuują stare średnio-wieczne rojenia o teokracji. Państwo watykańskie jest tylko alegorią systemu totalnego, który łamiąc ciało usiłuje zagarnąć duszę. Ustrojem, który dzisiaj najbardziej czyni zadość totalistycznym marzeniom papieża, jest ustroj gen. Franco. Reżym Trumana jest jego najbardziej charakterystyczną siłą ofensywną.

MIASTO MARTWYCH DUSZ

Państwo watykańskie jest ostatnią na świecie monarchią absolutną. Jego prawo podstawowe, proklamowane 7 czerwca 1929 r., głosi: „Artykuł 1. — Najwyższy kapłan, suweren Państwa i Miasta Watykan, posiada pełnię władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej”. Artykuły 7, 8 i 10 precyzują, że papież mianuje i odwołuje gubernatora, generalnych radców Stanu, jak również sędziów. Takiej władzy nie posiadał nigdy nawet Ludwik XIV. Trzeba sięgnąć do średniowiecza, aby odnaleźć równie dobitną formułę despotyzmu.

Ustawa o bezpieczeństwie publicznym z dn. 7 czerwca 1929 r., po dziś dzień pozostająca w mocy, stanowi przeciwieństwo Deklaracji praw człowieka i obywatela, której „siedemnaście artykułów, tak sprzecznych z religią i społecznością” napiewnował już Pius VI w r. 1791. Artykuł 3 tej ustawy znosi prawo zręczania się, artykuł 4 — prawo zebrań, artykuł 8 — wszelkie swobody wypowiedzi. Artykuł 7 przewiduje rewizje w mieszkaniach prywatnych. Wszelkie wykroczenie przeciw ustawie karane jest grzywną 9.000 lirów i sześcioma miesiącami więzienia. W r. 1949 wolność jest zbrodnią dla Piusa XII, jak i dla wszystkich jego poprzedników.

DUCH W KAJDANACH

Ten szczyt feudalizmu i przeżytek średniowiecza zdołał wszystkie splendory Odrodzenia. Znajduje się tu cała sztuka przeszłości, ale w charakterze sztuki muzealnej. Nie ma sztuki żywej wśród martwych dusz. Rzeźby Michała Anioła i freski Rafaela są tu zakonserwowane jak w lodówce. Znajduje się tu najpiękniejszy księgozbiór świata: galerie długości kilometra, 500.000 tomów, 100.000 rękopisów, książki uszeregowane jak mumie w sarkofagach, zamknięte w żelaznych szafach. Gdyby się te książki zbudziły, wybuch zawartego w nich światła rozsądziłby zabobon w kawałki. Ale czuwa nad nimi połęga ciemnoty.

Jest tu również wiedza — w obserwatorium Watykanu, przeniesionym do Castel Gandolfo. Ale tkwi tutaj jak okaz anatomiczny: gdyby nowy Galileusz zbliżył się do teleskopu, nie odważono by się wprawdzie wykluczyć mu oczu, albo wymusić na nim zaparcia się swych poglądów, niemniej jednak głos jego byłby zdławiony i wyklęty. Nauka jest zawsze hereetycka. Astronomowie Watykanu nie mają prawa wysunąć się poza kącik nieba, jaki wyznaczono im do badania.

Ludność Watykanu, cała złożona z urzędników, ujęta w karby najsurowszej dyscypliny: capstrzyk — o 11-tej wieczór, każdy, kto mimo zakazu znalazłby się na drodze suwerena w czasie jego spaceru, naraziłby się na utratę pośady.

To miniaturowe państwo totalne rządzi największym imperium świata, obejmującym czterysta milionów poddanych i pięć szóstych ziem wynurzonych.

Nie jest to obraz literacki. W epoce feudalizmu papież był władcą świata: intronizował i obalał królów, upokarzał cesarzy. Od czasu narodzin kapitalizmu i świadomości narodowej, od czasu Reformy XVI wieku papieżstwo przeszło głęboki kryzys, niemniej przecież Rzym nie przestał nigdy być ośrodkiem świata politycznego. I oto od dwudziestu lat papieżstwo odzyskuje, w łonie ustroju kapitali-

stycznego, władzę świecką, jaką posiadało w czasach feudalizmu.

Czterdzieści cztery hektary powierzchni Watykanu nie powinny następcą żadnego złudzenia: dzisiaj o potęgę stanowi nie ziemia, lecz kapitał, kontrola gospodarki oraz panowanie nad ludami, które wypływa z posiadania kapitałów i sprawowania kontroli, jak dawniej wypływało z władania ziemią.

ZIEMIE KOŚCIELNE I ZŁOTE ŻNIWA

Od chwili, gdy w IV wieku zawarte zostało przymierze między papieżem i cesarzem Konstantynem, Kościół był nieprzerwanie najbogatszym posiadaczem świata. W czasach feudalizmu Kościół był największym właścicielem ziemskich. Dziesięciny gromadziły się przez całe tysiąclecie. Gdy w epoce Odrodzenia, za pontyfikatu Juliusza II, Rzym stał się ośrodkiem życia politycznego narodów, akumulacja jego kapitałów była już dokonana: mógł więc wyruszyć na podbój świata kapitalistycznego wyposażony we własną broń.

I dzisiaj śmieszne aktem obłudy jest wskazywanie na śmiesznych czterdzieści hektarów państwa watykańskiego, gdy we Włoszech 250.000 hektarów stanowią ziemie Kościoła, który czerpie z nich rentę, gdy jedna trzecia własności ziemskiej w Hiszpanii jest w ręku jezuitów, gdy Ameryka Południowa jest najbardziej rozległą z kolonii Kościoła, gdy dzisiejsze imperium papieża jest wielkie jak kontynent!

Nie licząc już dóbr nieruchomości w postaci przybytków kultu, renty ziemskiej i skapi-

talizowanych dochodów z ziem kościelnych, reprezentujących co roku setki miliardów.

BANK ŚWIĘTEGO DUCHA

Dodajmy do tego datak św. Piotra 400 milionów wiernych, oszacowany w r. 1913 na przeciętną roczną sumę trzech miliardów złotych franków; ofiary miejsc świętych, gdzie na tysiąc mszy zapłaconych w Lourdes lub Lisieux, na przykład, jedna setna zaledwie jest istotnie odprowadzana, jako że Watykan zezwala na mszę globalną zamiast tych, których odprowadzić niesposób. Dodajmy do tego dochody z tysięcy świątyń patnicznych, natdo opłaty i daniny każdej z 1.700 diecezji świata katolickiego, nie licząc zysków finansowych Watykanu, gdzie sama tylko sprzedaż znaczków idzie w miliardy. Tak więc ukazuje nam się, obok własności ziemskiej, drugi aspekt bogactwa Kościoła: potężna akumulacja finansowa i podstawy gigantycznego obrotu dewizowego.

Afera prałata Cippico sama przez się nie jest ciekawa. To że ksiądz, choćby nawet „monsignor” i tajny szambelan papieża, okazał się fałszerzem i złodziejem, niczego jeszcze nie dowodzi przeciw Kościołowi — jest to tylko występek jednostki. Co jest groźne i podważa niejako sam fundament instytucji, jaką jest Kościół katolicki, to fakt, że kombinacje o takim rozmachu są w ogóle możliwe.

Po r. 1806 papieżstwo, które w wiekach średnich potępiło lichwę, założyło swój pierwszy bank dewizowy pchający Banco di Santo Spirito (Bank Świętego Ducha). Do feudalnej własności ziemskiej Kościół dorzucał ka-

pitalistyczną własność finansową. A był to jedynie początek.

Od akumulacji do spekulacji jest jeden krok tylko, tym bardziej że Watykan korzysta z wyjątkowo pomyślnych warunków dla realizacji olbrzymich obrotów dewizowych. Już w r. 1939 były przewodniczący niemieckiej partii katolickiego Centrum, Mgr Kaas, który schroniwszy się w Watykanie porzucił politykę dla interesów, uzyskał zezwolenie na wywóz sum kulturalnych, że pominiemy już wywóz nielegalny. A dzisiaj Mgr Guidetti, administrator majątków świętej siedziby, może dokonywać przelewów sięgających 150.000 dolarów. I znowu pozostawmy anegdotę na boku: nie jest ważne to, że Mgr Guidetti, minister skarbu papieża, siedzi w więzieniu za oszustwo — jest to banalny objaw korupcji kapitalistycznej. Co jest ważne, to fakt, że święta siedziba jest mocarstwem kapitalistycznym; co jest znamienne, to fakt, że bankierzy i przemysłowcy zwracają się do niej, gdy chodzi o transakcje dewizowe i inne najbardziej śliskie operacje.

W jaki sposób Watykan stał się najpotężniejszym trustem świata?

BANKOWY TRUST WATYKANU

W styczniu 1948 wielki przemysłowiec Rosi, na podstawie zwykłego podpisu administratora dóbr świętej siedziby, podjął ryzyko operacji bankowej na sumę 30 milionów franków włoskich? Dlatego że sieć bankowa i spółki w Watykanie jest nieskończona w świecie. Jej główne rozgałęzienia obejmują Włochy, Francję, Szwajcarię i Amerykę.

Bank Świętego Ducha, polecony Rossiemu przez jego obecnego dyrektora Corbi, jest już tylko dzisiaj drobnym trybikiem aktywności bankowej Watykanu.

Aktywnością tą kieruje generalny administrator dóbr świętej siedziby, Bernardino Nogara. Potentat międzynarodowej finansjery, skarbnik Watykanu Nogara był mężem zaufania Mussoliniego, który w swoim czasie zlecił mu negocjacje w sprawie planu Dawesa. Nogara, który zasiada w trzydziestu radach nadzorczych jest wiceprezesem największego banku włoskiego, Banco Commerciale d'Italia.

Adiutantem Nogary jest margrabia Sachetti, jedna z najwyższych osobistości Watykanu, główny kwaterymistrz świętych pałaców apostoelskich, przewodniczący koła św. Piotra i Stowarzyszenia Serca Jezusowego, prezes rady nadzorczej Banco di Santo Spirito i właściciel 25.000 hektarów w Latium. Margrabia Sachetti zasiada w radzie nadzorczej drugiego co do wielkości banku włoskiego, Banco di Roma, obok księcia Giulio Pacelli, bratanka papieża, obok demochrześcijańskiego posła Montiniego, który jest bratem monsignora Montiniego, watykańskiego sekretarza Stanu, i obok Odasso, innego przedstawiciela Banku Świętego Ducha.

Za pośrednictwem tych trzech banków Watykan kontroluje szereg banków mniejszego kalibru: Bank Scaretti, Bank Ugo Nataii, Włoski Zakład Kredytu Ziemijskiego, Centralny Zakład Kredytowy, Konsorcjum Kredytu dla Robót Publicznych, Bank Ambrosiano, którego radzie nadzorczej przewodzi hrabia Franco Ratti, bratanek papieża Piusa XI.

Widzimy więc, że baza obrotu bankowego i spekulacji dewizowej jest szeroko rozbudowana. Praktycznie rzecz biorąc, Watykan ma w swoim ręku, albo też kontroluje, cały włoski aparat finansowy. Poprzez 40 banków centralnych i setkę banków ludowych Watykan rozporządza 400 miliardami lirów na 600 miliardów oszczędności ciułaczy włoskich. Warto zaznaczyć, że Watykan spekuluje na walucie włoskiej, gdyż w praktyce waluta państwa papieskiego już nie istnieje.

W obecnym stanie rzeczy Watykan może bezkarnie uprawiać swą działalność finansową. Włochy bowiem są dlań nie tylko kolonią finansową, ale i kolonią polityczną. Na czele Rady Ministrów stoi mąż zaufania Watykanu Alcide de Gasperi, który nie jest nawet obywatelem włoskim, lecz obywatelem watykańskim, jako że od r. 1926 do Wyzwolenia był archiwistą - bibliotekarzem Watykanu. Ten urzędnik papieski pokrywa wszystko. Policja jego postarała się o to, by w okresie skandalu Cippico zniknęły w porę akta najbardziej kompromitujące dla papieża.

Rozgałęzienia bankowe Watykanu obejmują cały świat. Pierwszy etap jest w Szwajcarii. Mgr Guidetti przepuszczał pieniądze Rossiego przez filię „Banco di Roma” w Lu-

Cyprian Norwid

FRASZKA

Dewocya krzyczy: „Michelet wychodzi z kościoła”.
 Prawda; dewocya tylko tego nie postarzęła,
 że za kościołem człowiek o ratunek woła,
 że kona — że ażeby krew go nie ubiegła,
 to ornat drze się w pasy i związuje rany:

A faryzeusz mimo idzie zadumany.

Jan Kochanowski

OKAZNODZIEI

Pytano kaznodzieję: czemu to, prałacie,
 Nie tak sami żywicie, jako nauczacie?
 (A miał doma kucharkę) i rzecze, mój panie,
 Kazaniu się nie dziwuj, bo mam pięć set za nie:
 A nie wziętych tysiąca, mogą to rzec śmieje,
 Bych tak miał czynić, jako nauczam w kościele.

Wacław Potocki

SUKCESYA KSIĘŻA

Bywszy na zamku, pojrzę; sroga księży kupa
 Śpiewa żołtarz, na koło ostąpiwszy trupa.
 Pogrzeb, myślę, księżęcia, albo jakiej księżny.
 Pytam: kto? Powiedzą mi: ksiądz umarł pieniężny.
 Dobrze im się oplaca śpiewane pacierze,
 Bo po tysiąc czerwonych każdy prałat bierze.
 A krewni co? Ruchome wszystkie rzeczy, prawi,
 Pościel, garki, talerze, cokolwiek zostawi.
 Spytam w konfidency kanonika potem:
 Na co się też tak księża okładają złotem?
 Dość ze wsi i dziesięcin, niechby te puścizny
 Obracali żołnierzom, na zaszczyt ojczyzny.
 A ten, jakoż był grzeczny, nie myślący wiele:
 Od początku ten zwyczaj, prawi, był w kościele,
 że ksiądz bierze po księdzu, po nim trzeci, czwarty.
 Dyabeł po wszystkich, kędy już registr zawarty.

Kajetan Węglerski

KANON

Cóż mi ów kanon, co się pasac długim
 Dziesięcin zbiorom, z utuczonym brzuchem,
 Nieużyteczny ni sobie, ni drugim
 Uległ pomiędzy kucharką i puchem?
 A gdy zaległ raz mu dziesięciny
 Kto niezupełnym odmierzył mu działem,
 Chociaż był odpust od kary i winy,
 Wyklął z ambony i z duszą i z ciałem.

¹⁾ Fragment książki „Kościół, komunizm i chrześcijaństwo”.

Dm 521/652

gano. Jest to tylko mały odcinek tego handlu. Po r. 1943 ukonstytuowała się w Szwajcarii grupa finansowa kierowana przez dwu byłych doradców faszystowskich: Angeletti i Odasso, z których ten ostatni jest równocześnie prezesem rady nadzorczej Banku Św. Ducho i honorowym szambelanem płaszcza i szpady Jego Świątobliwości Piusa XII.

Na początku 1948 r. grupa ta dokonała nielegalnej operacji na sumę 600 milionów lirów. Sumy powierzone Watykanowi miały dobrą gwarancję: tony cukru dostarczane przez UNRRA!

Afera wzięła przykry obrót i okazało się, że depozytariuszami tych sum i zarazem ofiarami współników tej kombinacji finansowej były... trzy zakony.

Jak wiadomo, dostawy UNRRA dla Włoch przechodziły przez ręce Watykanu; otóż całą operację pokryli swym autorytetem dwaj postacie z „chrześcijańskiej demokracji”: Campilli i Vanoni. Powołana dnia 15 lutego komisja z 11 członków miała wykryć, kto sfinansował przywóz z Kuby tak znacznej ilości cukru. Dochodzenie ustaliło, że sprawa była finansowana przez administrację świętej siedziby, ściślej mówiąc z funduszy zakonnych.

Administracja skarbowa Watykanu udzieliła na ten cel 4 i pół miliona dolarów, której to sumy dostarczył gotówką... zakon bractw franciszkańskich — synów „Poverello” — za podpisem franciszkanina Antonio Blasucci.

Po franciszkanach kolej przyszła na dominikanów. Dotąd ich siedzibą centralną był Algier, ale w Afryce dominikanie są tak niezawodnym narzędziem francuskiego kolonializmu, że wrzenie ludności tubylczej zaczęło im się dawać we znaki: postanowili więc w końcu ubiegłego roku przenieść swą siedzibę do Rzymu. Zwrócili się zatem do monsignora Guidetti powierzając mu zakup na Monte Mario terenu pod ich dom, kaplicę, klasztor i kasę. Administrator majątków świętej siedziby poradził im nie rozgłaszać sprawy, aby nie zachęcać właścicieli placów do podniesienia cen. Wystarczyło zawierzyć mu składając na jego ręce 300 milionów lirów. Dominikanie poszli za tą świątą radą... Guidetti siedzi w więzieniu watykańskim, miliony zaś dominikanów zniknęły bez śladu.

Podobna operacja dotknęła zakony palotyńskie i bazylianów obrządku greko-katolickiego, które powierzyły swe majątki administracji świętej siedziby. Mgr Guidetti zdefraudował ich fundusze przez sfałszowanie podpisu rady Państwa Watykanu, księcia Don Carlo Pacelli z rodziny papieskiej.

Operacja rozciąga się na Francję. W okresie wymiany banknotów wartości pięciu tysięcy franków banki watykańskie skupiły wszystkie krążące za granicą odcinki dokonując wymiany za lichwiarski procent 30%.

Co prawda, mają one we Francji bardzo solidne podpory. Instytucja, która służy im jako ogniwo pośredniczące, jest Francusko-Włoski Bank Ameryki Południowej, rządzony przez radę nadzorczą posłuszną wskazaniom Bernardino Nogary. Filie tego banku stanowią w Argentynie główne ogniska faszystwu. Zresztą jest on sam filią „Banque de Paris et des Pays-Bas”, znajdującego się pod kontrolą Watykanu. Staje się więc zrozumiałe, dlaczego M. R. P. tak zaciekle broniło tego banku przed nacjonalizacją; staje się również zrozumiałe, czemu zawdzięcza swą świetną karierę w tej firmie manekin jezuitów Pierre de Gaulle, brat generała i prezydent paryskiej rady miejskiej.

Dodajmy do tego, że jedna trzecia część akcji Banku Worms (za okupacji — jednego z najbardziej petainowskich i prohitlerowskich banków Francji) należy do Watykanu. Dodajmy Galiciera, Demachy i Lehideux — a otrzymamy obraz wpływów Watykanu na bankową „górze” Francji. Ogółem francuskie lokaty Watykanu sięgają sumy 200 miliardów franków.

WSZYSTKIE DROGI PROWADZA NA WALL-STREET

Wszystkie nici zbiegają się na Wall-Street, mianowicie w City-Bank Nowego Yorku i w bankach grupy Morgana. Lokaty kapitałowe Watykanu w Stanach Zjednoczonych są oceniane na 35 miliardów franków.

Akcje bankowe Watykanu w innych krajach (Republiki południowo-amerykańskie, Anglia, Niemcy, Węgry) są oceniane na 60 miliardów franków.

Jest to wszelako jeden tylko aspekt potęgi ekonomicznej państwa papieskiego: Watykan jest nie tylko największym z właścicieli ziemskich i najpotężniejszym grupowaniem bankowym świata; od kilkunastu lat, to znaczy od czasu wielkiego kryzysu 1929 roku i zwłaszcza od czasu ostatniej wojny Watykan kontroluje znaczną część światowego przemysłu. Ujawnia się tu bardzo wyraźnie znamieny rys kapitału finansowego: fuzja kapitału bankowego z kapitałem przemysłowym.

Watykan posiada wszystkie charakterystyczne cechy „holdingu” przemysłowego i finansowego, holdingu, któremu mgiełka mistyko-feudalna nadaje styl osobliwy.

Jak powstał ten holding, którego potęgę dorównywa jedynie potęga trustów amerykańskich?

HOLDING WATYKANU

Holding ten powstał w dwu rzutach: w okresie 1929—1933 w wyniku układów Laterańskich i dzięki kryzysowi światowemu, później w okresie 1939—1945 dzięki wojnie światowej.

Układy Laterańskie uregulowały kwestię władzy świeckiej papieża. Mocą konwencji finansowej z dnia 11 lutego 1929 Mussolini zobowiązał się wpłacić świętej siedziby, pod

pozorem odszkodowań za straty poniesione przez państwo papieskie w okresie tworzenia się jednośc włoskiej, 750 milionów lirów gotówką i miliard lirów w pięcioprocentowych obligacjach państwowych. Nazajutrz po zawarciu tych złotych układów papież Pius XI nazwał Mussoliniego „mężem opatrznościowym”. Pierwsze dziecko, które po zawarciu układów urodziło się w mieście watykańskim, otrzymało imiona dwu „pogodzonych”: Piusa i Benita.

Faktem jest, że konwencja finansowa oddała w ręce Watykanu gospodarkę włoską. W owym czasie, a były to pierwsze miesiące kryzysu, państwo faszystowskie postanowiło ratować zachwiane banki włoskie lokując w nich poważne kapitały. Tym samym państwo faszystowskie zyskiwało przemożny wpływ na gałęzie przemysłu kontrolowane przez owe banki. Ale nie mogło ono uratować wszystkiego naraz: aby podtrzymać sektory najbardziej dotknięte, Mussolini musiał sprzedać pakiety akcji przedsiębiorstw najzdrowszych. Pod presją kryzysu i wobec powszechnego głodu kapitałowego, musiał je dyktator włoski sprzedać po cenach śmiesznie niskich. Otóż, Watykan, który w pełni kryzysu nie miał konkurentów, znalazł się sam na sam na rynku z miliardami, które należało zainwestować. Porobił więc zakupy tak masowe, że dzisiaj ma w ręku najmocniejsze sektory gospodarki włoskiej, a to dzięki „administracji specjalnego patrymonium świętej siedziby” (taka jest nazwa tego ultra-nowoczesnego aparatu ekonomicznego).

Poza bankami kapitały Watykanu we Włoszech są zainwestowane przede wszystkim w spółkach budowlanych, w towarzystwach ubezpieczeń, w elektrowniach i przemyśle chemicznym.

Tak więc, w „Powszechnej Spółce Budowlanej” Watykan posiada 50% kapitału, podczas gdy reszta jest rozproszona między 2000 drobnych akcjonariuszy, w spółce „Romana” Watykan posiada 3/4 kapitału; w Veronie — 55%, w Wenecji — 50%, w Mediolanie — 51%, w Neapolu — 80%, w Turynie — 100%, w Genui — 85%.

W samym Rzymie do Kościoła należy nie tylko jedna trzecia nieruchomości, ale i gros zakładów użyteczności publicznej. Książę Giulio Pacelli, bratanek papieża, przewodzi Spółce Kolei Południowo-Wschodnich, rządzi Rzymską Spółką Gazową i Towarzystwem „Italgaz”. Margrabia Sachetti, główny kwartmistrz pałaców apostolskich i tajny szambelan papieża, zasiada jako prezes w radzie nadzorczej włoskich filtrów, mając przy boku wszechpotężnego skarbnika Watykanu, Nogarę, który przewodzi Spółce Budowlanej, Zakładom Kredytu Ziemi i fabrykom markaronu „Pantabella”. W radzie nadzorczej tych fabryk i wielkich młynów zasiada jako prezes drugi bratanek papieża, Marc Antonio Pacelli, członek gwardii papieskiej, adwokat Roty, prezes dziesiątka innych spółek akcyjnych.

We wszystkich tych zakładach Watykan posiada większość w radach nadzorczych. Posiada nadto w elektrowniach poważne pakiety akcji — ogólnej wartości 7 miliardów lirów, w przemyśle chemicznym — 2 miliardy lirów. W fabryce materiałów wybuchowych „Montecatini” Watykan rządzi za pośrednictwem Bernardino Nogary i Rebuca Dandolo.

Słowem, nie ma w gospodarce Włoch ani jednej gałęzi, gdzie Watykan nie odgrywałby roli decydującej — bądź z racji swych inwestycji, bądź też zapomocą banków.

Wojna światowa umożliwiła Watykanowi w tej dziedzinie nowy skok naprzód. Dzięki rozpętanemu spekulacjom czarna ośmiornica rozpostarła swe macki po całej kuli ziemskiej. W tym względzie święta siedziba miała do dyspozycji solidnego przewodnika: Myron Taylor, gorący wielbiciel „imperialnych realizacji” Mussoliniego, przez cały czas wojny jeździł między Stanami Zjednoczonymi i Watykanem. Ładował na lotniskach włoskich i milicja faszystowska z całym należnym mu szacunkiem eskortowała go do Św. Piotra.

Dzięki światłemu radom tego prezesa amerykańskiego trustu stalowego, dzięki radom Nogary, Watykan, korzystając ze swej „super-neutralności” w czasie wojny, nie tylko ocalił wszystkie swe majątki i majątki spółek, w których posiada większość, ale i rozszerzył jeszcze sieć swych lokat i inwestycji.

Wojna nadała nowy kierunek świętym kapitałom. Przemysł wojenny ofiarowywał najkorzystniejsze lokaty. Już w r. 1938 przezorny i uprzedzający grzeszny Myron Taylor wprowadził Watykan do amerykańskiego trustu metalurgicznego „Guggenheim”. Cenna pomoc Banku Morgana, który został pełnomocnikiem świętej siedziby na Amerykę, pozwoliła Watykanowi wejść do trustu miedzianego „Anaconda Cooper”, następnie do spółek naftowych: „Sinclair Oil” w Ameryce i „Compagnie française des pétroles”, które dały mu prawo wglądu do kopalń Iraku.

We Francji inwestycje Watykanu, poza bankami i naftą, obejmują przede wszystkim przemysł tekstylny (70% akcji w „Société textile du Nord”) i prasę, gdzie Watykan kontroluje czterdzieści dzienników. Prócz tego zainwestował znaczne kapitały w kasyinach Biarritz, Deauville, Vichy i zwłaszcza w kasynie Monte-Carlo, gdzie sam Bernardino Nogara zasiada w radzie nadzorczej obok spadkobierców Basila Zaharowa i członków rodziny ex-rumuńskiego potentata naftowego Blanca.

Jak widzimy, polityka finansowa Watykanu jest i ostrożna i przedsiębiorcza. To mocarstwo kapitalistyczne nie może nie uprawiać polityki, nie może nie wpływać na politykę światową.

Roger Garaudy
tłum. W. Z.

W SETNĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI WIELKIEGO POETY— REWOLUCJONISTY WĘGERSKIEGO



Szandor Petőfi (1823—1849)

Szandor Petőfi (r. 1823 — 31.VII.1849) jest największym poetą węgierskim. Pochodził z prostej rodziny — syn rzeźnika — młodość miał awanturniczą i pełną przygod.

Pierwszy zbiór poezji wydał w roku 1844, a sławę swoją u współczesnych zawdzięcza trzem poematom epicznym: Wjeński kowal (1844), Wojak Janos (1845) i Filut Stefek (1847), z których to poematów Wojak Janos obrazuje folklor węgierski, świat baśni i życia uboższego juhasa. Najobszerniejszym dziełem poetyckim Petőfiego jest Apostoł (1846), utwór najlepiej odzwierciedlający nadzieje i myśli pokolenia roku 1848. Bo też Petőfi jest poetą „Wiosny Ludów”, on to przewodził piosnką i czynem ruchowi rewolucyjnemu młodzieży peszteńskiej w marcu 1848 roku, on później zagrzewał do walki swoimi lirykami patriotycznymi, on wreszcie jako oficer honwedów i adiutant Bema poległ w bitwie pod Segesvár.

W pamięci i ocenie potomnych przetrwał Petőfi przede wszystkim jako wielki i pełen temperamentu liryk, umiejętnie nawiązujący do form poezji ludowej, wielki nie tylko w ramach poezji węgierskiej. Utwory jego były już kilkakrotnie tłumaczone na język polski (np. „Wybór poezji” w przekładzie W. Sabowskiego, 1879 r. Przekłady z poetów obcych Langego 1899 r. i „Wybór poezji” w tłumaczeniu A. Gawrońskiego (1930)).

Szandor Petőfi

Przełożył Adam Kozłowski

V AJDA HUNYADI

I

Przyjmijcie mnie, dostojne mury,
Otocz mnie sobą zamku sędziwy!
Bądź pozdrowiony... Gdzie żył bohater,
Serce poety bije szczęśliwie.

Tu żył — z największych wielki —
Hunyadi!
O jakaż duma pierś mi przepala!
Serca mego nagły loskocie,
Mów, nim nadpłynie słowo jak fala.

W tych murach mieszkał może właśnie tu
Rozmyślał niegdyś, na baszcie wysokiej,
I patrzył w przyszłość, skąd teraz ja
Odległą przeszłość doganiam wzrokiem.

Tutaj wytchnienie znajdzie po trudach,
Kiedy już twarde boje przegrzamy.
Które na wieżach Konstantynopola
Półksiężycami dumnymi chwiały.

Sprzyja wytchnieniu zaciszna ustron...
W zielonej doliny ujęciu głębokim.
A zamek w dole, wiatry go nie tkną —
Nawet sztandaru na wieży wysokiej.

Śpi uchowane przed resztą ziemi
Święte zaciszę, nie dojrzy go świat,
Tylko z daleka, śnieżystą głową,
Gór wszystkich pradziad, stary Retyczat.

WĘGERSKI SZLACHCIC

(A magyar nemes)

Moich przodków miecz niełada
Wisi w sali, rdza go zjada;
Nikt nim dzisiaj nie wywija.
Szlachcic Węgier jestem ci ja!

Pełnię życia w sobie czuję,
Bo po całych dniach próżnuję.
Niechaj chłopca praca gniecie!
Szlachcic Węgier jestem przecie!

Dobrze, chłopie, równaj drogę
Na piechotę iść nie mogę!
Kofi twój prędko niech się zwija...
Szlachcic Węgier jestem ci ja!

I nauka mnie nie bawi,
Wszak uczonych bieda dławi.
Dla mnie książki to są śmiecie
Szlachcic Węgier jestem przecie!

Odezwały się zamku mury olśnione:
„Kogoż ja widzę? Wielki Hunyadi!
Więceś powrócił, o bohaterze,
Od czterystu lat czekam przez wszystkie dni!

Z wiarą czekałem, że jeszcze wrócisz,
Tą wiarą mocny, tą wiarą skutny —
Abym nie runął, abym udźwignął
Czterowiekowy żal swój i smutek.

I powróciłeś... Bądź pozdrowiony,
Długo czekamy, gościu i ojczel!
I żal mi tylko, że głaz nie płacze,
Abym lzy szczęścia poznał gorące!”

I odrzekł przybysz: „Żal mi cię zamku,
Ze muszę radość twą zgasić, nie ten
Przyszedł, o którym marzysz od wieków,
Jam nie Hunyadi, imię moje Bem.”

I odrzekł zamek: „Cóż, że twe imię
Dźwięk miało inny — dziś inny gdy słucham
Miano jest zmienne, patrzę
Na to, co wieczne, widzę tylko ducha

Nie po imieniu poznaję ciebie,
Lecz z ducha i dzieł twoich, i widzę
Żeś jest, któryś był czterysta lat temu —
Tyś ocalił Węgrom ojczyznę!”

Oto wiedza moja główna,
Rzadko kto mi w niej dorówna:
Kto tak je i wino spija?
Szlachcic Węgier jestem ci ja!

Szczęściem danin ja nie płacę;
Gospodarstwo zwolna tracę,
O mych długach dobrze wiecie
Szlachcic Węgier jestem przecie!

Cóż ojczyzna mnie obchodzi?
Troska o nią zdrowiu szkodzi!
Każda bieda jakoś mija...
Szlachcic Węgier jestem ci ja!

Gdy jak fajka się wypalę,
Prawem przodków mnie wspaniałe
Kraj pochowa, uczci w mowie
I uniosą aniołowie.
Bo i niebo też mi sprzyja:
Szlachcic Węgier jestem ci ja!

Rysunki Hanny Orzechowskiej i Władysława Strzemińskiego

PONAD MILION DZIECI NA WCZASACH



Zamieszczone na kolumnie portrety przedstawiają dzieci jednego z wielu w Polsce Domów Dziecka. W wielkiej fali dziecięcych wczasów wakacyjnych, co roku szerszej, w tym roku obejmującej ponad milion dzieci, Domy Dziecka tracą może dla turysty i wycieczkowicza na znaczeniu, zlewają się w wakacyjnym nastroju z obrazem sielanki wszelkich wczasów dziecięcych, o której źródła, środki, cele i uczestników nie bardzo pytamy, zadowoleni że bawią się w słońcu dzieci. A Domy Dziecka stały się przecież w Polsce Ludowej fundamentem instytucji stałej opieki, pomocy i niesienia radości i wypoczynku dzieciom. Do Domów Dziecka napłynęły dzieci, z których prawie każde miało za sobą trudną, tragiczną przeszłość. Niektóre z nich były w Oświęcimiu, część wywieziona na roboty do Niemiec. Wiele straciło rodziców. Są i „rodzicielskie”, odebrane z domu z warunków zaniedbania i udrczenia. A ileż z nich dzieli od pobytu w Domu Dziecka długie dni tułaczki bezdomnej? Dlatego możemy nazwać Domy Dziecka fundamentem nowej, wyrażającej sprawiedliwość społeczną opieki nad dziećmi. Fundamentem, na którym akcja wczasów dziecięcych zatacza coraz szersze kręgi od najszerzych zaczynając kręgi społecznych: rodzin robotniczych, chłopskich, najmitów, wyrobników i rzemieślników.

Portrety, jakie nadesłali nam H. Orzechowska i prof. Wł. Strzemiński z Domu Dziecka w Bierutowicach, odsłaniają rodowody społeczne tych dzieci, ich tragiczne minione losy i rozkwitanie w nowych warunkach opieki, którą tworzy, której bezmiennie pragnie i której strzec będzie jak żrenicy oka lud pracujący, mocny w swym sojuszu robotniczo-chłopskim i dzierżący władzę.
P. Ch.

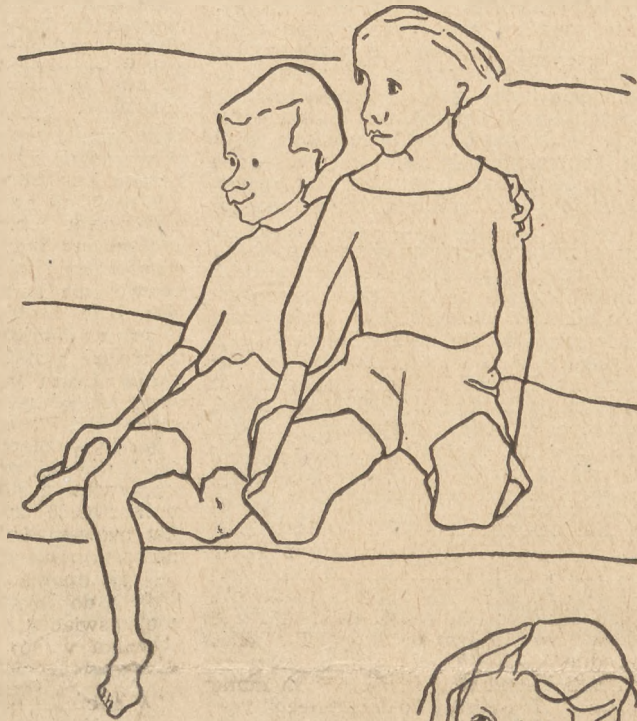


W. Strzemiński

Barbara Dzierżba z Pruszkowa, l. 13, środowisko robotnicze, ojciec nie żyje



Zdzisław Janecki, l. 13, Józef Gurlew, l. 14, Witold Matysek, l. 12



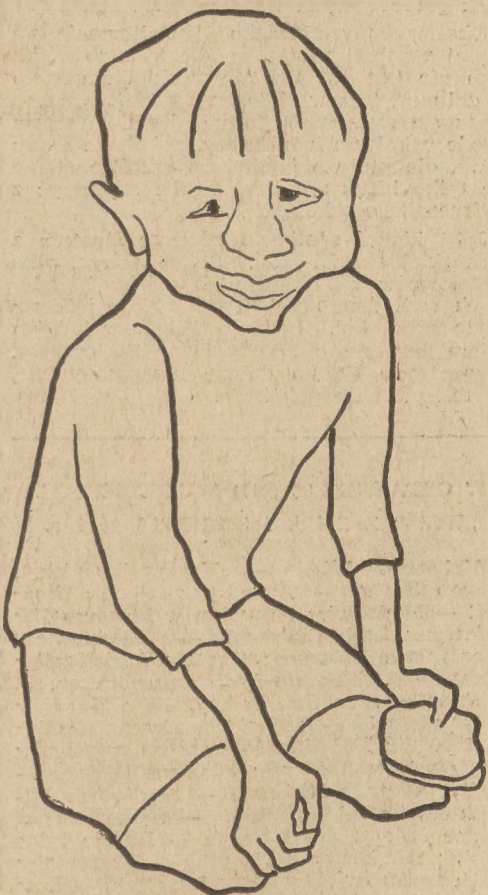
W. Strzemiński

Ryszard Piśczoko l. 10, z Warszawy, rodzice nie żyją ze sobą, dzieckiem opiekuje się matka



W. Strzemiński

Wanda Rulig, l. 14, z Teliganowa pod Warszawą, ojciec zginął w Dachau, matka chora nie pracuje; jest w Domu Dziecka od października 1946 r.



Kajtuś (Tadeusz) Stefański, l. 9, ze środowiska robotniczego, sierota



Wanda Kordysz, l. 9, ojciec murarz



W. Strzemiński

Stanisław Miedzik, rodzice nieznaní i 8, przeszedł do IV kl., jest w Domu Dziecka od lipca 1948 r.

Edmund Niziurski

Pierwsze pokolenie socjalistyczne

Ilustr. M. Gierowski



1. SZTUKA I RZECZYWISTOŚĆ

Białą, zakurzoną szosą, idziemy ze stacji kolejowej Chęciny do Podzamcza, gdzie, jak wskazują troskliwie umieszczone drogowskazy, Z. M. P. rozbiło w tym roku Obóz Szkoleniowy. Podzamcze położone jest o 2 km od Chęciny, miasteczka w powiecie kieleckim, w pobliżu malowniczych ruin zamku. Spacer od stacji kolejowej do „śródmieścia” Chęciny jest bagatelką. Trwa około półtorej godziny. Ale to nic nie szkodzi. Podróżny może przez ten czas podziwiać krajobraz, może też zabawić się zgadywaniami, dlaczego PKP ochrzciło tę stację nazwą Chęciny. Może dlatego, żeby chęciniacy mogli zadziierać nosy do góry, że ich miasto jest siedem kilometrów długie. Gorzej, gdy ma się z sobą walizki, jak grupa młodzieży, przybywająca właśnie na drugi turnus obozu, którą powoli doganiają.

Szosa przebiega przez wieś Tokarnie. Stefan zatrzymuje się przed zgrzybiałymi chałupami. Interesują go rodzaje budownictwa, sposoby położenia strzech i stare ornamenty u szczytu chałup. Odciągnąć go można od tego tylko głośnym podziwianiem pejzażu. Istotnie widok wart jest pedzła i to dobrego. Krajobraz chęciniński cechują silne kontrasty barw. Gleba tutaj jest czerwona, wzgórza noszą czarne czapy lasów, niżej, na zboczach, bliższy cała skala żółtych odcieni zbóż, w dolinach Nidy kłębi się soczysta zieleń zarośli i łąk.

Wszystko tu przypomina jakby scenierię do fantastycznej średniowiecznej sztuki, jedynie czerwone kominy wapienikową nawijają do współczesności. Do horyzontu stąd blisko. Niebo mocno przymocował do ziemi niezdarne ściegi gór. Zabłądzić trudno. Nawet bez ZMP-owskich drogowskazów. W promieniu paru dziesiątków kilometrów widać wiekowy drogowskaz tutejszych szlaków — zamek królowej Bony.

Jak zwykle w takich wypadkach, wesoły krajobraz kryje w sobie mniej wesołą treść gospodarczą i społeczną. Okolice Chęciny należą do uboższych części województwa kieleckiego. Ilość nieużytków znaczna, gleba przeważnie piaszczysta, dużo chudych, obdarcych bezmyślnie z lasów zboczy, moczarów i kwaśnych łąk nad Nidą.

Marmury, kamień i wapno mogłyby dać podstawy pod rozwój przemysłu materiałów budowlanych, lecz bogactwa te nie zostały należycie wykorzystane w czasach przedwojennych i leżą odłogiem. Dopiero dziś myśli się o uaktywnieniu gospodarczym tych okolic. Te warunki wytworzyły typ tutejszego chłopca, klasycznego proletariatu wiejskiego na paru morgach nieurodzajnego gruntu, który od dawna zmuszony był sprzedawać swą siłę roboczą i szukać dodatkowych źródeł utrzymania, typ pół-chłopca, pół-robotnika, pracującego sezonowo w okolicznych kamieniołomach, lasach albo u bogatego sąsiada.

2. W OBSZARNICZYM PALACU

Nareszcie jesteśmy na miejscu. Kompleks białych budynków wylania się z kępy wysokich drzew. Flaga na maszcie pośrodku dziedzińca. Po szerokich schodach dawnego pałacu obszarniczego drapiemy się do sekretariatu obozu. Duża, widna sala ozdobiona emblematami organizacyjnymi. Parę prostych ław i stołów z rzuconych papierami. Właśnie przyjechała nowa grupa młodzieży. Pochyleni nad stołami wypełniają ankiety i zatapiają formalności. Sekretariat pracuje szybko i sprawnie. Oddychamy z ulgą. Tutaj nie ma biurokracji. Zawieramy pierwsze znajomości. Kolega Perzyński przyjechał tu ze Zduńskiej Woli, gdzie pracuje jako robotnik Państwowych Zakładów Przemysłu Bawełnianego. Są także chłopcy i dziewczęta z Łodzi i z Pomorza.

Spotyka nas przyjemna niespodzianka dla reportera. Nasze incognito jest tak doskonałe, że kolega zza stołu bierze nas za uczestników turnusu i wypytuje o personalia. Prostuujemy omyłkę z uśmiechem, ale nie bez żalu. Zadzwońmy tym młodym uchem czasów tutaj.

Zdemaskowani mścimy się po dziennikarsku zaspokajając kierownika obozu kol. Ptaszyńskiego gradem inkwizytorskich pytań. Kol. Ptaszyński uzbrojony w arsenał kartoteki i pedagogiczną cierpliwość wytrzymuje mężnie pierwszy atak. Dzięki niemu jesteśmy po chwili zorientowani w założeniach organizacyjnych obozu.

Centralny Obóz Szkoleniowy w Podzamczu został zorganizowany w ramach akcji wczasów przez Zarząd Główny Związku Młodzieży Polskiej dla aktywistów ZMP. Obóz ma

trwać przez lipiec i sierpień i objąć 4 turnusy po 2 tygodnie każdy. Ciekawie przedstawia się skład społeczny uczestników pierwszego turnusu.

Na 53 osoby młodzieży pracującej zawodowo było 37 osób, w tym robotników z przedsiębiorstw państwowych i spółdzielczych — 12, pracowników umysłowych — 6, rzemieślników — 19.

Młodzieży uczącej się w szkołach było 16 osób, w tym uczniów szkół ogólnokształcących — 6, uczniów szkół zawodowych — 10.

Pochodzenie społeczne młodzieży na pierwszym turnusie przedstawiało się jak następuje: dzieci rolników — 9 osób, w tym średniorolnych — 2, małorolnych — 7, dzieci robotników — 40, inteligencji pracującej — 4.

Pojemność każdego turnusu wynosi 170 miejsc. Z tego wykorzystanych w I turnusie zaledwie 53. Pytamy o przyczyny tego zjawiska. Kol. Ptaszyński beznadziejnie rozkłada ręce. Nie dopisały organizacje terenowe. Zbyt słabo przeprowadzano werbunek, nie uzgodniono wcześniej terminów urlopów z okresami turnusów. Jednym słowem „nawaliła” organizacja. Ale organizacje dołowe mają jeszcze inny grzech w tym zakresie na sumieniu. Akcja werbunkowa zawiodła nie tylko ilościowo, lecz i jakościowo. Jak wiadomo, obóz przeznaczony był dla czołowych aktywistów, tymczasem w znacznej części skierowano tutaj materiał zupełnie „surowy” o niedostatecznym poziomie ideologicznym. W pierwszym turnusie, gdzie była wyraźna przewaga młodzieży pracującej (70 proc.), ten brak nie zadziałał tak bardzo na charakterze obozu, gdyż młodzież reprezentowała stosunkowo duże wyrobienie społeczne. Natomiast II turnus przedstawia się pod tym względem dużo gorzej.

W ten sposób zasadniczy charakter obozu ulega pewnemu wypaczeniu. Personel szkoleniowy musi bowiem niejednokrotnie obniżać poziom wykładów uwzględniając brak teoretycznego przygotowania uczestników.

Dużo czasu zabiera też „rozruszanie” nowoprybytych i wdrożenie ich do dyscypliny obozowej oraz życie się i „zgranie” wzajemne, tak niezbędne w pracy zespołowej. Kiedy w końcu uczestnik turnusu na dobre zaaklimatyzuje się w obozie i oswoi z podstawowymi zagadnieniami, wykładanymi w czasie jego trwania, pobyt na czasach się kończy i trzeba pakować manatki.

Połączenie obozu szkoleniowego z akcją wczasów jest bardzo korzystne, gdyż umożliwia młodzieży pracującej pełne wykorzystanie pobytu na wczasach. Młodzież też nie tylko wypocząła, lecz zarazem pogłębia swe wykształcenie i podnosi poziom ideologiczny. Należy tylko żałować, że w ten sposób siła rzeczy akcja szkoleniowa ogranicza się do dwu tygodni, tj. tyle, ile trwają normalne wczasy pracownicze.

Jak widzimy, czas jest tutaj na wagę złota i wszyscy zdają sobie sprawę, że tym lepiej trzeba go wykorzystywać. Pomaga w tym ściśle przestrzegany rozkład zajęć.

O godzinie 6 rano pobudka, potem gimnastyka, mycie i ubieranie. O godzinie 7.10 apel a następnie o 7.30 śniadanie. Z kolei rozpoczynają się wykłady. Po wykładach dyskusja w dziesięcioosobowych zespołach. Ten podział na małe zespoły dyskusyjne ma na celu umożliwić każdemu uczestnikowi wypowiedzenie myśli, jakie mu nasunął referat i zapewnić dokładne indywidualne opracowanie tematu przez każdego kursistę.

Tematami wykładów są przeważnie zagadnienia popularno-naukowe, gospodarcze, społeczne i polityczne. Oto kilka tematów: „O powstaniu człowieka”, „Jak walczyli robotnicy i chłopcy o Polskę Ludową”, „Podstawy ustroju Polskiej Ludowej”, „Młodzież w planie sześciolatnim”, „Jak żyje młodzież w ZSRR”, „Wytoczne pracy koła fabrycznego”.

My trafiliśmy na inauguracyjną pogadankę pt. „Czym jest i do czego dąży ZMP”. Zajmujemy miejsca w sali tutejszej szkoły przysposobienia rolniczego między szkieletem krowy i innymi tajemniczymi preparatami. Przed nami 40 chłopców i dziewcząt w idealnej ciszy słucha prelegenta. Takiego skupienia i uwagi młodzieży zyczyłbym cięciu profesorskiemu naszym gimnazjom. Widocznie wykładowca, żywy, nieduży chłopiec kol. Wawszczak z organizacji warszawskiej, jest nieprzeciętnym pedagogiem. Teraz kol. Wawszczak jest trochę szpony naszym wtargnięciem, rychno jednak odzykuje werwę. Mówi głośno i wyraźnie, nie rzuca słów na wiatr. Rozumiemy zainteresowanie młodzieży. To nie jest nudna piła seminaryjna, jakie znamy z własnego doświadczenia. Prelegent zbyt dobrze zna młodzież, do której się zwraca. Sam niedawno z niej wyszedł. Inteligencja a prosto przedstawia genezę organizacji, krótko historię demokratycznego ruchu młodzieżowego, jego aktualne zadania, cele i środki, akcentuje konieczność organicznej jedności. Temat ogromny, czas ograniczony — widać jak młody prelegent zmaga się ze słowem, przekłamuje jego opory, stara się, by słowo było najtrafniejsze.

— Wiesz, co mi przyszło na myśl — mówi Stefan po wyjściu z sali wykładowej — ten obóz jest obozem uniwersalnym — nie tylko dla uczestników. On w niemiejszym stopniu wychowuje i kształci samych wykładowców i instruktorów.

Stefan ma skłonność do paradoksalnych sformułowań. Tym razem jednak ma rację.

3. STARSZY KOLEDZY

Kierownictwo ośrodka znajduje się w młodych rękach. Na tyle młodych, by rozumieć młodzież i utrzymać niezmiernie cenny w pracy wychowawczej stosunek starszego kole-

żeństwa. A jednak są to ludzie ideowo dojrzały i doskonale przygotowani do pracy społecznej. Lecz myliłby się, kto by ich uważał za ludzi skończonych. Oni kształcą się w dalszym ciągu.

Od pierwszego zetknięcia z młodym kierownictwem obozu zdaliśmy sobie sprawę, że mamy do czynienia z ludźmi nowej epoki, którzy czymś zasadniczym różnią się od przedwojennej młodzieży. Zaczęliśmy się zastanawiać, na czym polega ta różnica. Oczywiście można było od razu sobie powiedzieć, że to socjalizm wydobyla na powierzchnię utajone siły społeczne, że jest jedynym podłożem, na którym mogą w pełni rozwinąć się i dojrzeć młode talenty, że mamy do czynienia z nowym typem człowieka, jaki kształtuje się w Polsce zdążającej do socjalizmu.

Musieliśmy dopiero zobaczyć, jak kol. Wawszczak wyklada, jak kol. Urbaniak prowadzi ćwiczenia sportowe, jak kol. Ptaszyński organizuje, jak ci młodzi ludzie podchodzą do swojej pracy. Wtedy odpowiedź nasunęła się sama. Tym, co charakteryzuje tych młodych ludzi, co upodabnia ich do siebie, a zarazem wyodrębnia od dawnej młodzieży, co nadaje zasadniczy styl ich życiu, jest nowa postawa wobec pracy. Są to ludzie, którzy z twórczej pracy społecznej uczynili zdrową, absorbującą ich zupełnie namiętność. Młodzieńcza ambicja znalazła naturalny, radosny teren wyładowania się. Poszła w niepamięć modna niegdyś u młodzieży poza zblazowania, spleenów, mdłych snów o potędze, którą do niedawna uważano za konieczną przypadłość pewnego wieku, a która wyrastała na pozmywe beznadziejności społecznej kapitalizmu.

Mimo woli narzuca się zestawienie z przedwojennymi obozami harcerskimi, gdzie w większości przypadków praktykowano nawzajem na sobie kult wodzostwa, gdzie żyły się różne niedorosłe hitlerki, gdzie idea była bezideowością osłonięta frazeologią 10 praw. Pamiętamy, jakimi środkami starano się odciągnąć myśl młodzieży od dociekania istotnych przyczyn zła społecznego. Pamiętamy, jak grzechot harcerskich werbli głużył walkę klasową.

Kiedy wychowanek ówczesnego obozu przeszedł później przez wielkie pranie, jakiego rzeczywistość nikomu nie szczędziła, okazało się, że frazes braterstwa harcerskiego jest małotem, który puszcza bez mydła, przy pierwszym starciu interesów klasowych.

Kapitalizm już przed tym określił, komu jakie ma przypaść miejsce w życiu. Z dwu wychowanek obozu jeden, mimo braterstwa, musiał pozostać proletariatem, drugi, mimo braterstwa, najpierw rozbił się z palką na uniwersytecie, potem na zgłębionych plecach dawnych braci z obozu, z którymi śpiewał „Złączeni kregiem braterskiej miłości” — drapał się na szczeble kariery.

Dziś idziemy przez dziedzińiec Podzamcza, gdzie w lipcowym słońcu w rytm gimnastyki wyprostowują się dziesiątki rąk młodzieńskich. I zdaje nam się, że wraz z tymi młodymi rękami wyprostowuje się w słońcu pięknego Podzamcza z dawnych załamań i zniekształceń — charakter polskiej młodzieży.

4. KONTAKTY SPOŁECZNE I PODEJRZLIWY KULAK

Obóz w Podzamczu za jedno z głównych zadań postawił sobie nawiązanie kontaktu z miejscową ludnością i oddziaływanie na nią w kierunku kulturalno-oświatowym.

Okazja do pierwszych kontaktów nie dała długo na siebie czekać.

Koło Chęciny żniwa w całej pełni. ZMP offerował pomoc najbardziej potrzebującym rolnikom.

— Liczcie na nas. Jutro stawimy się punktualnie o szóstej.

Lud kielecki jest nieufny. Zbyt długo wyzyskiwano go pod płaszczykiem zżyciwości. Zbyt długo zawracali mu głowę ludomaniacy wybawiciele i fałszywi mikołajczykowscy prorocy. I nieraz przekonywał się, ile kosztuje „pomoc” udzielona „po sąsiedzku” przez bogacza wiejskiego, albo duchowna pomoc księdza proboszcza.

Zrazu nie bardzo wierzono młodzieży. Kręcono głowami, odwracano oczy wstydliwie. Niektórzy po prostu bali się takiej pomocy. A jednak dokładnie o szóstej rano młodzież stawiła się, kościła, odbierała, wiazała, stawiała snopy.

Pomoc objęła małorolnych w najbliższej okolicy, głównie te gospodarstwa, gdzie od czasu wojny brakło gospodarza.

Widok równo ściętego żyta przełamał lody. Pogadano o tym i owym, i że trzeba się sprzedawać bogaczom za pomoc przy obróbce pola, i że pomoc sąsiedzka nie została zorganizowana jak trzeba, i że w tutejszej „Samopomocy Chłopskiej” wciąż jeszcze siedzą bogacze i ich poplecznicy, i że ksiądz bierze ośmiem tysięcy za ślub.

Twarze chłopców zaszępiły się. To, co pisze prasa o walce klasowej na wsi, nie jest, okazuje się, dziennikarską przesadą.

Za wesołych chęcinińskich pagórków wyłoniły się ciemne chmury klasowych zmagania. Raz chłopcy pomylili się i zaproponowali pomoc wiejskiemu kulakowi — sknerze, co samotnie sobie żytko kościł. Odmówił niegrzecznie.

— Obejdzie się. Bogacie wiejscy mając za sobą poparcie kleru, prowadzili ostrą kampanię przeciwko uczestnikom obozu, rozpuszczając plotki, które w ich klasowym pojęciu mogły „popsuć opinię” młodzieży. Jednym z takich „oszczerstw” była pogłoska, że pomoc ZMP przy żniwach, to „pierwszy stopień do zakładania przymusowych spółdzielni produkcyjnych”.



Praca przy żniwach zbliżyła młodzież do miejscowej ludności. Lecz ZMP-owicz nie czeka na takie okazje. On sam je stwarza. I turnus zorganizował trzy ogniska, na które zaproszono tutejsze społeczeństwo. Wszystkie ogniska wypadły dobrze. Rzecz zrozumiała, najlepiej dopisała wiejska młodzież. Każde ognisko składało się z części poważnej, z pogadanki na popularne oświatowe tematy i z części rozrywkowej. Początkowo wszystko było sżtywne, ale przy wspólnej piosenie i zabawie pomieszali się organizatorzy z publicznością — ogniska spełniły swoje zadanie. Były prawdziwym wydarzeniem w tych zapadłych kątach.

Nawiązano również kontakty z miejscowym kołem ZMP. Planuje się wspólne szkolenie. Utrzymuje się stałą styczność z młodzieżą miejscowej szkoły rolniczej. — Szkoda tylko, że teraz u nich przypada najgorętszy okres nauki. Są bardzo zajęci.

5. PIERWSZE POKOLENIE

Korzystając z tego, że chłopcy mają nieco wolnego czasu przysiadamy się i gawędzimy. Rozmowa rychło schodzi na tory zasadnicze. Jeszcze raz okazuje się, jak czułym wskaźnikiem zmian społecznych jest świadomość młodzieży. W niedalekiej przeszłości właśnie młodzież najgłębiej odczuwała wyzysk i niesprawiedliwość ustroju, obecnie najszybciej reaguje na zdobycze socjalne i gospodarcze władzy ludowej.

Jak zwykle u młodych ludzi, podejście do zagadnień społecznych jest uczuciowe. Widać, że jeszcze ich głębiej nie przemysleli, że reakcje polegają na spontanicznych odruchach sympatii lub antypatii. Wszyscy z naciskiem podkreślają, że najwięcej ich cieszy w dzisiejszej rzeczywistości równość. Ona daje poczucie pełnowartości społecznej i godności ludzkiej. Młodzież robotnicza czuje, że jest przedmiotem szczególnej troski państwa ludowego. To ogromnie dodatnio wpływa na samopoczucie.

— Dopiero dzisiaj chce się naprawdę pracować — zauważa młody robotnik z Radomia.

Mechanizm gospodarki kapitalistycznej stanowi dla większości zagadkę. Wiedzą, że kapitalizm to system gospodarczy sankcjonujący wyzysk człowieka przez człowieka, nie potrafia jednak wyjaśnić, dlaczego w tym systemie wyzysku nie da się uniknąć. Ta młodzież dopiero tutaj na obozie zdobyła podstawy przygotowania teoretycznego i zapoznania się z naukowym wyłumaczeniem zjawisk gospodarczych i społecznych.

Obserwujemy zjawisko kształtowania się nowej psychiki robotnika, dla którego socjalizm nie jest już Priestleyowskim „miasmem w dolinie”, lecz właśnie najwykleszą, samo przez się zrozumiałą formą bytu. Wzrasta młode pokolenie ludzi pracy, pokolenie szczęśliwe, dla którego kapitalizm wkrótce stame się tylko historią, której trzeba się uczyć z podręczników szkolnych.

Jeśli kiedyś spotkacie młodego ślusarza z toruńskiej stoczni kol. Śmigilewskiego, albo metalowców z Zakładów Wyróbów Metalowych w Radomiu kol. Chojnackiego i Pierzchałę, albo kol. Łukaszewskiego, z którym spieraliśmy się o „Cichy Don” Szolochowa, przypatrzcie się im dobrze i zapamiętajcie, bo to... pierwsze pokolenie.

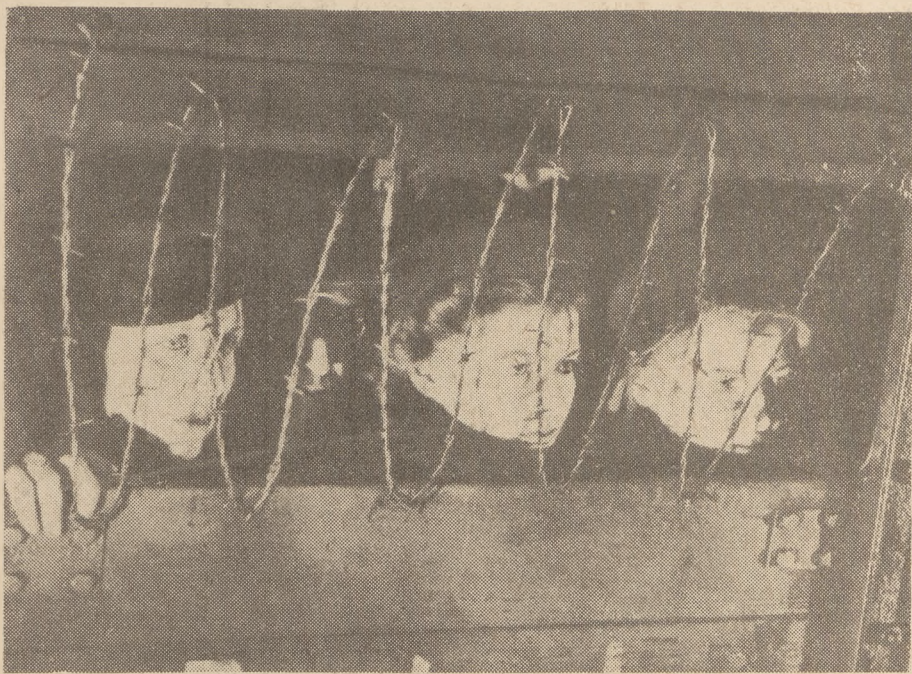
W OSTATNIM 32 (211) NUMERZE TYG.

„WIEŚ” Z DNIA 7 SIERPNI 1949 r.

Aleksander Litwin — „Kryzys brytyjski”; Roman Bratny — Towarzysz; Stefan Treugutt — Mickiewicz i Puszkina w Muzeum Narodowym; Lech Budrecki — „Mickiewicz”; Mieczysława Jastruna; Eugenia Jagiełło-Stysiowa — „Chłopskie życie gospodarze”; F. Barkow — Struktura rolna ZSRR; Konstanty Grzybowski — Genealogia zdrady; Krystyna Michalik Nedelković — Rasizm wśród najmłodszych w Ameryce; Klemens Oleksik — Dymy; Edmund Niziurski — Na Polach Elijskich; Tadeusz Kubiak — Mieszkański koniec świata; Józef Pogan — Ludzie i ludziska; Władysław Borkowski — O zagadnięciach teatru świetlicowego; Jan Orski — Rozważania pokłętawne; Gustaw Tomala — O młodzieży naszej gminy; Jan Bicki — Jeszcze o czytelnictwie wiejskim; Eugenia Mądrowa — Magiczne myślenie psychologów; Fakty i zdania; 8 ilustracji; 12 stron.

Lech Budrecki i Witold Jedlicki

PIĘCIOLECIE FILMU POLSKIEGO



„Ostatni etap”



Aby dobrze zrozumieć osiągnięcia, jakich w dziedzinie realizacji pełnometrażowych filmów fabularnych dokonano w Polsce Ludowej, należy uświadomić sobie drogę, po której przebiegała twórczość filmowa naszego kraju w przeciągu ostatnich przynajmniej dziesięciu lat poprzedzających drugą wojnę światową. Staje się to tym ważniejsze, że zarówno „Ostatni etap” jak i „Ulica Graniczna” — a te dwa dzieła sztuki uważamy za najpoważniejsze osiągnięcia polskiej kinematografii powojennej — wyrosły z trudu przewyciężenia pewnych konwencji artystyczno-ideologicznych, z którymi w dwudziestolecie spotykaliśmy się najczęściej. Były to konwencje zarówno scenarjopisarskie jak i realizatorskie, przy czym te ostatnie objawiały się szczególnie silnie w sugerowaniu aktorom pewnej koncepcji ich roli.

Pierwszą z tych konwencji była swoista anonimowość środowiska społecznego, anonimowość, którą nieliczni tylko reżyserzy potrafili przełamać (np. Ford w „Legionie ulicy”). Oczywiście, anonimowość ta nie obowiązywała we wszystkich typach filmu, dlatego też postaramy się tu przeprowadzić specyfikację najczęściej pojawiających się na ekranach (rzecz prosta w latach 30-tych) dzieł sztuki filmowej. Mieliliśmy tu do czynienia z filmami, zdradzającymi tendencje komediowego happy-endu, sugerującymi pomysłowość w rozwiązywaniu wszelkich przedstawionych konfliktów, dalej filmy historyczne, ujawniające ideologię nacjonalistyczną, głoszące, że w dziejach narodu polskiego mamy do czynienia ze zdumiewającą wręcz zgodnością interesów wszystkich grup społecznych, będących jednak niestety odpowiednikami drobnomieszczańskiej literatury tych lat (mały realizm!), gdzie to przyczyna bezrobocia np. okazywali się „zli ludzie” — zli przełożeni, zli fabrykanci itd. Jeśli wspominaliśmy o anonimowości, to dotyczyła ona przede wszystkim filmów pierwszego rodzaju, owych najprzeróżniejszych komedii i fars, na podstawie których nie można było ustalić, do jakich grup społecznych należą ukazywani nam bohaterowie. Jedyną rzeczą istotną były bowiem perypetie erotyczne zakończone nieodwołalnie pomyślnym finałem, naturalnie małżeństwem. Ale i tutaj wkrótce zarzucono tę konwencję, co można zaobserwować na filmach z Adolfem Dymśką w roli głównej, takich jak np.: „Paweł i Gaweł” lub „Robert i Bertrand”, w których to bohaterami zostawali ludzie z określonych grup zawodowych, najczęściej drobnomieszczaństwo, względnie inteligencja urzędnicza. Niemniej jednak fabuła sprowadzała się do wyrażenia swoistej „filozofii”, której naczelnymi tezami było to, że istnieją ludzie do brzy i zli, mniej lub bardziej śmieszni, że możliwy jest awans społeczny, że nie ma walki klasowej, że wszystko w Polsce dzieje się jak najlepiej.

Drugą grupę stanowiły filmy o tematyce historycznej, takie jak np. „Kościuszko pod Racławicami”, dążące do narzucenia widzowi przekonania o wewnętrznej jednolitości narodu polskiego, widzące we wszelakich przejawach niepodległościowych wyłącznie starcie między dwiema grupami nacjonalnymi. Filmy te realizowane były zazwyczaj z absolutnym brakiem troski o prawdę historyczną, którą dostosowywano w sposób bezczelny do ogólnej koncepcji, pełniąc przy tym rolę co w utworach komediowych, tj. stawała się ona wykładnikiem ideologii solidaryzmu społecznego zaprawionego sosem naiwnego hurra-patriotyzmu.

Wreszcie trzeci ze wspomnianych typów filmy ukazujące w jakimś stopniu pewne przejawy życia społecznego w Polsce, ale interpretujące je w myśl drobnomieszczańskiej filozofii, która nie oskarżała ustroju, a jedynie charakter i postępowanie poszczególnych ludzi. Chodzi tu nam przede wszystkim o „Dziewczęta z Nowolipki” i o niektóre filmy realizowane według powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. Tak to słynna trylogia

o doktorze Wilczurze sprowadzała się do problemu dramatu psychicznego zdradzonego męża i co najwyżej obwiniała sprawność służby sanitarnej na wsi.

Tak więc sytuacja filmu, który służył w owym czasie konkretnym celom burżuazji i drobnomieszczaństwa (komuż bowiem innemu mogła służyć nieskomplikowana ideologia komedii filmowej, stanowiąca apologię istniejącego ustroju społecznego), była wręcz tragiczna. Jeżeli zestawimy osiągnięcia sztuki filmowej w Polsce z dokonaniami w tej dziedzinie na terenie ZSRR, czy też z dziełami postępowych reżyserów zachodnio-europejskich, to porównanie takie stanowić będzie doskonale potwierdzenie naszej oceny. W momencie gdy na zachodzie mieliśmy do czynienia z zabłąkanymi, ale bądź co bądź wymierzonymi w strukturę społeczną kapitalizmu poczynaniami awangardy, kiedy Jean Vigo tworzył „Atalante”, kiedy Jean Renoir przystępował do nakręcania „Zasad gry”, najbardziej reklamowanym osiągnięciem polskiej kinematografii była wciąż „Granica” wypaczająca całkowicie sens znakomitej powieści, według której film miał zostać zrealizowany, pozostał dramat miłosny z cyklu „Pani czy służąca”, świetnie zastępujący problematykę walki klasowej. Umyślnie — z powodu trudnej do porównania sytuacji społecznej obu krajów — nie przywoływaliśmy tu dzieł filmowych produkcji radzieckiej, umyślnie apelowaliśmy jedynie do twórczości krajów opanowanych przez kapitalizm. I tu musimy stwierdzić, że dzieł takich, jak „Grona gniewu” (John Ford wg powieści Steinbecka, film reprezentujący postępowe tradycje amerykańskich klas średnich w pewnej specyficznej sytuacji) czy jak niektóre dzieła Pabsta tak charakterystyczne dla dążeń artystycznych niemieckiej postępowej inteligencji lat 30-tych, film polski dzięki specyficznej sytuacji, w jakiej kraj nasz się znajdował, stworzyć nie potrafił.

Tak więc filmowcy nasi w pierwszych latach po wojnie stanęli wobec wyjątkowo ciężkiego zadania. Musieli przede wszystkim podjąć trud odbudowy całkowicie zdewastowanych przez okupanta urzędów technicznych niezbędnych do produkcji filmowej, musieli przekształcić oblicze społeczne filmu, musieli wreszcie wypracować nowe wzorce estetyczne. Reforma ustrojowa, jaka doko-

nała się w Polsce po wojnie, musiała pociągnąć za sobą gruntowną zmianę funkcji społecznej filmu. O ile w Polsce sanacyjnej, podobnie zresztą jak we wszystkich krajach kapitalistycznych (czego najtypowszym przykładem jest Hollywood), film był towarem produkowanym wyłącznie w celach komercyjnych i jak każdy towar podlegał wszelkim anomalom gospodarki kapitalistycznej, o tyle film w ustroju socjalistycznym musi być jednym z podstawowych narzędzi wychowawczych służących podnoszeniu poziomu kulturalnego mas. Tak więc film polski stanął wobec zadania zmiany swej podstawowej funkcji (w czym zresztą sytuacja tej gałęzi sztuki nie różniła się zasadniczo od sytuacji w innych dziedzinach twórczości artystycznej). Celem naszego artykułu będzie właśnie sprawdzenie, w jakim stopniu polska twórczość filmowa zadanie to dotychczas spełniła.

U podstaw kryzysu, którego świadkami byliśmy, śledząc pierwsze powojenne polskie filmy, była konieczność przewyciężenia kanonów artystycznych twórczości filmowej przedwojennej, a zarazem nawiązanie do niektórych postępowych tendencji okresu przedwojennego. Zasadnicze potknięcia w tej dziedzinie zaobserwował uważny widz już w pierwszym polskim fabularnym filmie długometrażowym: „Zakazane piosenki”, potknięcia, powodujące zwężenie filmu tego na tory ideologii drobnomieszczańskiej. Stało się to na skutek tego, że realizatorzy „Zakazanych piosenek” z respektem godnym lepszej sprawy wykorzystali schemat estetyczny filmu przedwojennego, począwszy od takich, jak to, że akcja filmu musi być powiązana z treścią śpiewanych na nim piosenek, a skończywszy na schemacie erotycznym, objawiającym się w zupełnie podobnych, co w filmie przedwojennym koncepcjach ról aktorskich. Nowa przedstawiona na filmie tym tematyka musiała ulec wykoszlawieniu, właśnie dlatego, że ujmowano ją w myśl dawnych kanonów, w rezultacie czego otrzymaliśmy niesamowicie zafałszowany obraz konspiracji i powstania warszawskiego, w którym to lata 1939—45 okazały się ni mniej ni więcej, jak tylko zbiorową i solidarną walką całego narodu (jeszcze raz „Kościuszko pod Racławicami”) przeciw niemieckim okupantom. Antagonizmy klasowe uznano za nieważne, usuwając je na margines

właściwej fabuły. Z takiego potraktowania tematu bieżącej się również to, że występujący w filmie Niemcy są przerazająco głupkowaci i śmieszni, że konspiracja polega w olbrzymiej mierze na śpiewaniu piosenek, że jedynym podziałem występujących postaci jest podział ze względu na ich dyspozycje psychiczne; dylemat tchórzostwa i bohaterstwa; na koniec, że cała rzeczywistość okupacyjna stawała się groteską, taką mniej więcej, jaką widzieliśmy przed wojną na „Belku i Lolku”, „Sportowcu mimo woli”, czy „Manewrach miłosnych”. Trzeba dodać, że wszystkich tych błędów nie uniknęła również druga wersja tego filmu.

Jeżeli zajęliśmy się „Zakazanymi piosenkami” nieco szerzej, to nie był to przypadek. Film ów z łatwością bowiem można skonfrontować z późniejszymi osiągnięciami polskiej kinematografii, posiadającymi zbliżoną tematykę, a stanowiącymi próbę rozrachunku z okupacją. W ten sposób jesteśmy w stanie z dużą dokładnością prześledzić formowanie się nowego stylu realizatorskiego i scenarjopisarskiego. Rzecz prosta, myślimy tu o „Ostatnim etapie”, „Za wami pójdą inni” i „Ulicy granicznej”. Te trzy dzieła tworzą w każdym wypadku jakiegoś podsumowanie, dokonane oczywiście z pewnych pozycji ideologicznych, rzeczywistości okupacyjnej, to jest tych wydarzeń historycznych, które rozgrywały się na terenie Polski od roku 1939 do końca wojny.

„Ostatni etap” przedstawiał obóz koncentracyjny, „Za wami pójdą inni” — konspirację w okupowanej Warszawie, „Ulica Graniczna” obejmowała problem eksterminacji Żydów. Filmy te w pewnym stopniu zdołały przełamać ten typ twórczości, którego ostatnim (jak chyba mamy prawo przypuszczać) pogłosem okazały się „Zakazane piosenki”. Najmniej śmiałym niestety obrazem społeczeństwa polskiego był ten, jaki widzieliśmy w „Ulicy Granicznej”. Sąd ten, być może bardzo ryzykowny, postaramy się zaraz uzasadnić.

„Ostatni etap” potrafił ukazać nam nie tylko ten typ ideologii, który reprezentował faszyzm niemiecki, nie tylko pokazało nam specyficzne „wychowanie” przeprowadzone w ramach pewnej struktury administracyjno- państwowej, ale co więcej, zróżnicowanie klasowe kapów i więźniów również ze względu na ich genealogię społeczną, jak i ze względu na rolę, jaką pełnili w obozowym aparacie administracyjnym, przeprowadzone zostało z niezwykłą wręcz precyzją. Klasowy przedział tworzący się wewnątrz tak specyficznej struktury społecznej, jaką był obóz koncentracyjny, udało się Wandzie Jakubowskiej podchwycić, przewyciężając ten charakterystyczny szablon wielu dzieł tzw. literatury obozowej, jakim była specyfikacja postaci na oprawców i uciemiężonych, na Niemców i Polaków.

Zresztą, ten nowy typ widzenia wydarzeń historycznych, których terenem była Polska w przeciągu kilku lat wojny, zdradza niewątpliwie również debiut filmowy Antoniego Bohdziewicz: „Za wami pójdą inni”. Problem walki klasowej zarejestrowany w przedstawieniu dzieł konspiracji, wskazuje wyraźnie na to, że walka z faszyzmem była walką nie tylko z niemieckim policjantem czy esesmanem, lecz także z własną lumpenburżuazją. Konspiracja nie jest jednolita. Oprócz działaczy AL i GL pokazano nam również wyznawców ideologii „stania z bronią u nogi”, której funkcja społeczna została w diadogach filmu zdemaskowana jako służąca interesom angielskiej burżuazji.

Cóż jednak zawiodło w „Ulicy Granicznej”? Ford, mając przed oczyma martyrologię narodu żydowskiego, potrafił stworzyć apologię zarówno żydowskiego mistyka religijnego, jak i bohaterskiego powstańca — proletariusza; bo przecież obaj ginęli. Kult dla meczetu zastąpił mu zagadnienie: kto był męczony. Gineł Żydzi, wiemy o tym, kim byli ci Żydzi. Jaką funkcję klasową peł-

(dalszy ciąg na str. 14)



„Ulica Graniczna”

Roman Zimand

Buchalteria kapitalizmu „kwitnącego”



Honoré Balzac

Maksym Gorki niejednokrotnie podkreślał, że tworzenie nowych wartości w kulturze musi być ściśle związane, a w pewnym sensie nawet oparte na dorobku kulturalnym przeszłości. Jest to linia wytyczna polityki kulturalnej socjalizmu. Stąd też Związek Radziecki jest krajem, w którym stosunek do klasyków literatury wszystkich narodów służyć może za wzór; stał się on jedną z przyczyn rozkwitu kultury radzieckiej.

Jednocześnie współczesnemu rozkładowi kultury kapitalizmu towarzyszy nihilistyczny stosunek do dorobku kulturalnego własnego kraju. Niedawno „Trybuna Ludu” zamieściła artykuł Pierre Dax'a o rocznicy balzakowskiej we Francji. Autor w związku z 150 rocznicą urodzin Balzaka cytuje tam wypowiedzi takich „koryfeuszów” współczesnej kultury burżuazyjnej jak np. Jules Romains. Ignorancja współzawodniczy tu z zakłamaniem. Płaskie paszkwile na Balzaka, stanowiące ogromną większość tych wypowiedzi, dominują przy ujmowaniu postaci oraz twórczości Balzaka także i w oficjalnej nauce o literaturze, przeznaczonej dla użytku młodzieży:

„Honoriusz de Balzac, urodzony w Tours w 1799 r., był początkowo pomocnikiem notariusza, następnie utworzył spółkę z pewnym drukarzem, lecz udało mu się tylko zadłużyć. Od 1820 zaczyna pisać i zabija się pracą, stale niepokojony brakiem pieniędzy, początkowo potrzebnych dla spłacenia jego własnych długów, następnie dla zaspokojenia żądania do szerokiego życia i bawidełek, dla pokrycia deficytu spowodowanego nieścisłymi spekulacjami. Niedługo po zaślubieniu hrabiny Hańskiej, z którą prowadził przez 15 lat pasjonującą korespondencję (Lettres à l'étrangère) padł przy pracy rażony apopleksją”.

Cytowane powyżej zdania stanowią cały życiorys Balzaka, jaki podaje podręcznik literatury francuskiej Histoire illustrée de la Littérature Française, wydany we Francji w 1947 r.

Literaturoznawstwo współczesnej burżuazyjnej Francji dostrzega więc w Balzaku po prostu mieszczańskiego groszora, który próbował zdobyć majątek różnymi drogami, między innymi pisaniem książek. Poza tym nie chce przeceniać jego znaczenia i jeśli umieszca go w podręczniku szkolnym, to raczej ze względu na wymogi naukowej ścisłości.

Świadczyć o tym może zdanie, którym rozpoczyna się „conclusion” tego paszkwilu na genialnego pisarza: „Pomimo wielkiej ilości zbytecznego balastu, dzieło Balzaka przetrwało do dziś”.

„Kultura zachodnia” dzisiejszej reakcyjnej Francji odsoniła swe kosmopolityczne oblicze. Nauka burżuazyjna stara się pomniejszyć pisarza, będącego chlubą narodowej kultury Francji. Boi się wielkiego demaskatora, boi się ukazywanej przez niego prawdy. Wykluczyć musi z ram przejmowanego przez siebie dziedzictwa kulturalnego jeden z najdonioślejszych w historii kultury procesów: narodziny współczesnej powieści.

U ŹRÓDEŁ NOWOCZESNEJ POWIEŚCI

Wiek XVIII i pierwsza połowa XIX to okres burzliwych przemian ekonomiczno-społecznych. W Europie Zachodniej rodzi się w bólu i męce nowe społeczeństwo, które, wywalczony sobie społeczno-polityczne podstawy rozwoju, żąda nowej sztuki, nowej literatury. Na wschodzie Europy społeczeństwo rosyjskie, pchnięte ręką Piotra I na przód, dławione przez cara a jednak pełne buntu, żąda od swoich pisarzy wystawienia rachunku epoki.

Narodziny realistycznej powieści związane są z czterema nazwiskami: we Francji — Stendhal i Balzac, w Rosji — Puszkina i Lermontowa. Mimo istotnych różnic w charakterze ich twórczości, uwarunkowanych odmiennym układem historycznym, metoda artystyczna, którą się posługują wszyscy czterej, metoda realizmu krytycznego — stawia ich w jednym rzędzie, jako twórców nowoczesnej prozy.

Burżuazyjne literaturoznawstwo przynajmniej Balzakowi rangę „ojca powieści”. Pominąwszy fałsz historyczny, zawarty w tendencyjnym przemilczeniu nazwisk Puszkina, Ler-

montowa czy Stendhala, nazwa ta w tradycyjnej wiedzy o literaturze pozostała pustym frazesem. Słusznej analizy twórczości wielkiego pisarza i jego wkładu w dzieje nowoczesnej powieści dokonało literaturoznawstwo marksistowskie, które większość jego pozwala zrozumieć i ocenić w konfrontacji z epoką, w której tworzył.

EPOKA I PISARZ

Twórczość Balzaka związana jest jak najściślej z dwoma okresami historii Francji: z Restauracją Burbonów i z monarchią lipcową Ludwika Filipa. Urodzony 20. 5. 1799 r. Balzac rozpoczyna swą żmudną drogę wielkiego artysty w ostatnich latach panowania Karola X i pracuje nieprzerwanie do śmierci, tj. do roku 1850. Olbrzymia większość 92 tomów „Komedii ludzkiej” — to właśnie historia Restauracji i monarchii lipcowej.

Lata 1815 — 1848 to okres burzliwych przemian ekonomicznych i ostrej walki klasowej we Francji. Rewolucja francuska oczyściła we Francji drogę kapitalizmowi i gospodarka kapitalistyczna rozwija się tu systematycznie.

Jednak decydującą rolę w życiu gospodarczym Francji tych lat odgrywa nie burżuazja przemysłowa a finansjera. Niekoronowanym królem kraju był kapitał bankowy, stolicą — nie Paryż a giełda. Laffite i Perier, a u Balzaka Gobsec i de Nucingen — oto prawdziwi władcy Francji.

Przemianom w życiu gospodarczym kraju towarzyszą silne walki klasowe. Rola przodującą odgrywa z pozoru burżuazja. Jest to jednak w znacznej mierze złudzenie.

Wprawdzie arystokracja ziemiska — szczególnie za Burbonów — wciąż jeszcze ma wiele do powiedzenia, wprawdzie burżuazja wciąż jeszcze walczy o jak najwygodniejszą dla siebie pozycję, jednak istotna linia podziału przebiega już gdzieś indziej. Na przedmieściu św. Antoniego w Paryżu, w ośrodkach przemysłowych prowincji rodzi się nowa klasa, nowa siła, która napawa strachem od pierwszych dni swego istnienia zarówno tych, którzy żyją z renty gruntowej, jak i giełdarskich obcinaczy kuponów. Wielka parodia złudzeń rewolucji 1789 r. zaczyna się na dobre.

Burżuazja zrozumiała, że prędzej czy później przyjdzie jej stanąć oko w oko z rewolucją, wobec której rok 1793 był nieomal że dziecinną zabawką. Rozpoczyna się zrastanie nowoczesnego kapitalizmu — przede wszystkim bankowego — z resztkami wędrującej arystokracji. Proces ten jest jednym, z ukrytych może, ale głównych motywów przewodnich dzieła Balzaka.

Postępowa rola burżuazji kończy się. Balzac wyprzedził zmierzchni radykalizmu mieszczańskiego, dostrzegł, jak mówi „Manifest Komunistyczny”, że „Burżuazja tam gdzie doszła do władzy, zburzyła wszystkie feudalne, patriarchalne, idylliczne stosunki. Pozostawiała bezlitośnie wielorakie węzły feudalne, które przywiązywały człowieka do jego „naturalnego zwierznika” i oie pozostawiała między ludźmi żadnego innego węzła, prócz nagiego interesu, prócz wzywanej z wszelkiego sentymentu „zapłaty gotówką”.

Honoré Balzac, syn pracowitego ludu Francji, znalazł się jak później Lucjan Chardou w „Dwuch poetach”, jak Rastignac w „Ojcu Goriot” w samym sercu kapitalistycznej dżungli.

OBRAZ DŻUNGLI

Trzydziestokilkuletni Balzac, który był tylko genialny i pracowity, a nie potrafił być nieuczciwym, co nie pozwoliło mu, na szczęście, iść drogą przeciętnego bourgeois, zrzucony przez wilcze prawa kapitalistycznej gospodarki, obciążony 70 tysiącami franków długu zaplanował swoje olbrzymie dzieło — „Komedie ludzką”. Cykl ten a raczej szereg cykli, miał objąć 143 utwory i stać się olbrzymią artystyczną panoramą Francji pierwszej połowy XIX w. Pracując po 14—16 godzin na dobę, przerabiając i czytelując w nieskończoność swoje powieści, Balzac wykonał ponad dwie trzecie zamierzonej pracy — umarł pozostawiając 92 utwory, z których większość stanowi i stanowić będzie źródło dumy narodu francuskiego, szczytowe osiągnięcia światowej literatury. Całość jest „wielką buchalterią kapitalizmu „kwitnącego”. Ze zamiast pomnika czynów bohaterów wystawił swę epokę rachunek chciwości, zbrodni i rozpawy to jest to oczywista nie wina a zasługa Balzaka, który potrafił najistotniejsze cechy kapitalizmu uchwycić i na zawsze napiętnować.

W 93 tomach „Komedii ludzkiej” żyją i działają tysiące postaci, stanowiących artystyczne wcielenie kapitalistycznej Francji.

Nie ma chyba takiej zbrodni, na której bazuje kapitalizm, a której nie opisałby Balzac. Dowodzi on jasno: w społeczeństwie kapitalistycznym nikt uczciwą drogą majątku nie zrobił. Dotyczy to zarówno zbiegłych galerników jak parów Francji.

Wilczemu społeczeństwu kapitalizmu oprócz dwóch władców — Gobseca i Nucingena dał Balzac teoretyka — Vautrina i praktyka — Rastignaca. W jednym słynnym „kuszeniu” Vautrina z „Ojca Goriot” powiedział Balzak o kapitalistycznym społeczeństwie więcej aniżeli cała burżuazyjna socjologia, od Comte'a do współczesnych szkół amerykańskich.

Balzakowska analiza kapitalizmu nie ogranicza się do obserwacji oficjalnie uznanych pól bitew gospodarki towarowej, jak giełda,



Z wieku Nucingenów

Honoré Daumier

postadości ziemskie, czy kramiki z pachnidami. Balzak chcąc wykonać swe tytaniczne zamierzenia bada wszystkie dziedziny życia.

Uczucia przyjaźni, uczucia rodzinne, najwznioślejsza miłość i największe upodlenie — wszystko zostaje zbadane, przeanalizowane, ukazane nie od strony zewnętrznej efektu a przenicowane, wystawione podszewką na wierzch.

EKWIWALENT MIŁOŚCI

Literatura światowa poświęciła zagadnieniu miłości setki tysięcy stron. Problem miłości to sprawa, którą porusza każdy prawie pisarz i każda epoka. Lecz jak różnie wyglądają te tak, wydawałoby się „absolutne” i „wieczne” problemy.

Wielka literatura Odrodzenia, która wystawiała rachunek krzywd epoki zmierzchniętego feudalizmu, podjęła problem miłości w trzech aspektach: odkłamania wyidealizowanego w eposie rycerskim obrazu kobiety, wyzwolenia instynktów ludzkich z pęt feudalno-religijnego niewolnictwa, ukazania społecznego podłoża konfliktów miłosnych — problemu nierówności stanowych.

Kapitałizm zniósł znaczną część przesądów o nierówności ustroju feudalnego. Pieniądz stał się jedynym miernikiem wartości człowieka, wyznacznikiem jego pozycji społecznej i jego... uczuć.

Balzac z przenikliwością wielkiego artysty dostrzegł tę cechę kapitalizmu. Nie ma u niego miłości, która by w ten czy inny sposób nie była uwarunkowana sytuacją finansową bohaterów. Pieniądz jest albo celem, do którego dąży się poprzez miłość, albo przeszkodą na drodze do miłości.

Rastignac w „Ojcu Goriot” zostaje kochankiem baronowej de Nucingen, kocha ją, a w każdym razie wydaje mu się, że kocha — ale ta miłość znajduje swój pieniężny ekwiwalent: Rastignac zdobywa pieniądze, i co za tym idzie „pozycję”. I przy tym Balzac nie przedstawia go wcale jako „utrzymanka” z premedytacji. Wprost przeciwnie, miłość tych dwojga ludzi nosi wszelkie pozory szczerości. Balzak ukazuje tylko kapitalistyczną ośnowę miłosnej tkaniny.

Miłość nie występuje u Balzaka poza swoim kapitalistycznym ekwiwalentem. Kochankowie Balzaka to ludzie, których uczucia można dla tych czy innych powodów przeliczyć na franki.

Trzeba powiedzieć, że pod tym względem Balzak łapał kapitalizm bardziej „in flagranti”, niż drugi wielki współtwórca mieszczańskiej powieści realistycznej — Stendhal. Dla stendhałowskiego Juliana Sorela zdobyć kobiety jest tylko sprawdzianem własnej wartości. Miłość u Stendhala znajduje się na pograniczu feudalizmu i kapitalizmu. Miłość balzakowska to miłość epoki kapitalizmu.

ISTOTA WIELKOŚCI

Wielkość Balzaka przejawia się w opisie mierności i w opisie geniuszu. Jest on jednakowo wierny rzeczywistości. Współ z Puszkinem, Stendhalem i Lermontowem podniósł on do godności tematu literackiego rzeczy, o jakich przed nim literatura nie mówiła w ogóle lub których nie nazywała po imieniu. W tym sensie ci czterej pisarze wprowadzili istotną treść życia do literatury. Jest to jedna z nieprzemijających ich wielkości.

Balzac uważał siebie za rojalistę i gorliwego katolika. Jednak dla każdego, kto choć trochę uważnie przeczytał parę jego powieści, jest jasne, że mundur obrońcy tronu religii pęka w szwach i rozłączy się na nim przy każdym niemal pociągnięciu piórem. Sam zresztą kościół miał i ma co do „katolickości” poważne zastrzeżenia. Widocznie Balzak był lepszym realistą niż katolikiem — znalazł się bowiem dość szybko w indeksie ksiąg zakazanych Watykanu, gdzie spotkał zresztą lepsze towarzysztwo artystyczne aniżeli to, które go otaczało w Paryżu.

Balzac — katolik i Balzac — realista to dwie wrogie sobie postacie, pomiędzy którymi toczy się walka w dziedzinie twórczości literackiej. Zwycięzca Balzak — realista, i jest to, jak pisze Engels, jedno z wielkich zwy-

cięstw realizmu. O doniosłości tego zwycięstwa można się przekonać między innymi, kiedy się czyta rozrzucone tu i ówdzie po całej „Komedii ludzkiej” bogoojczyźniane scenki i komentarze autorskie. Stanowią one rażący zgrzyt w harmonijnej i doskonałej całości. Na szczęście jest ich niewiele i nie mogą one zaważyć na ocenie dzieła Balzaka.

Znana leninowska teza głosi, iż w każdym wielkim artyście znajduje swoje odbicie jakaś część rewolucyjnej treści jego czasów. I Balzak „katolik i rojalista” jest rewolucjonistą, jednym z najbardziej rewolucyjnych pisarzy pierwszej połowy dziewiętnastego wieku.

Pierwszą cechą rewolucyjności Balzaka jest jego twórczość demaskująca kapitalizm „kwitnący”.

Burżuazja okresu Restauracji i monarchii lipcowej podszywała się pod miano klasy rewolucyjnej, walczącej o postęp.

Balzac ukazuje jej wsteczność, ukazuje proces bratania się burżuazji z jej niedawnym wrogiem — arystokracją. Balzac pokazuje, że każde zwycięstwo odniesione przez burżuazję nad arystokracją zbliża do siebie te dwie klasy, łącząc je w jedną wrogą postępowi całość. Balzac pokazuje, że rewolucyjne hasła burżuazji to bańki mydlane pękające przy zetknięciu z rzeczywistością.

Burżuazja do dziś twierdzi, iż prazródkiem majątku i „pozycji” w świecie kapitalistycznym jest oszczędność, uczciwość i pracowitość. „Komedie ludzka” nie zostawia suchej nitki na tej moralistycznej powiastce. Balzac ukazuje bandycki charakter ekonomiki kapitalizmu.

Burżuazja do dziś pieje cklive hymny na cześć mieszczańskiej rodziny, na cześć mieszczańskiej miłości i przyjaźni.

Balzac odsłonił kapitalistyczną podszewkę „świętych” uczuć i instytucji. Pokazał uprosztowanie mieszczańskiej rodziny, zależność uczucia od pieniądza.

Ale rewolucyjność Balzaka nie ogranicza się tylko do roli demaskatora kapitalizmu, roli, której znaczenie i dziś jest wciąż aktualne.

Balzac jest jednym z pierwszych pisarzy XIX wieku, którzy dokonali wielkiej rewolucji w literaturze. Pokazał on, iż literatura to nie kwestia romantycznej pozy i nadprzyrodzonego natchnienia, a głębokich studiów nad współczesnością i ciężkiej, w warunkach kapitalizmu — niewolniczej wprost, pracy.

O prawdę obrazu artystycznego, o rzetelny stosunek do pracy pisarskiej walczył Balzac z ofiarnością wielkiego bojownika rewolucji literackiej. Gniewem i satyrą smagał współczesnych sobie pięknoduchów literackich, ale jednocześnie wskazywał, że całe plejady tych pięknoduchów istnieją dzięki rabunkowej polityce kulturalnej kapitalizmu.

Balzac jest wielki, ponieważ jest rewolucjonistą, jest nim często wbrew własnej woli. Rewolucyjne umiowanie prawdy jest w nim silniejsze od politycznych przekonań i ono stanowi istotę jego wielkości.

BALZAK PRAWDZIWIY

Burżuazja nigdy nie potrafiła właściwie zrozumieć Balzaka, nie potrafiła znaleźć prawdziwych źródeł jego wielkości. Za życia, nawet wtedy, kiedy został już uznany przez oficjalną krytykę, nie doceniano go, nie zdawano sobie sprawy z tego, że książki jego są więcej niż poczytne, że posiadają wartości nieprzemijające. Później, w stopniowym upadkiem kultury kapitalizmu Balzaka w burżuazyjnym literaturoznawstwie uległa słabemu wykrzywieniu, uległa całkowitej niemal anatemie.

Prawdziwego Balzaka pokazał światu po raz pierwszy Engels. Ale Engels mógł tylko odsłonić prawdziwe oblicze artysty; na to, co stanowi treść wieczności pisarza — na rozumne, czasowego czytelnika musiał Balzak czekać dłużej. Balzak prawdziwy, Balzak czytany i rozumiany przez miliony ludzi to osiągnięcie kultury socjalizmu.

Balzak popularniejszy jest w Związku Radzieckim aniżeli we Francji.

Duma i radość ludu francuskiego — Balzak, został po raz pierwszy naprawdę odkryty przez Engelsa, a żyje dziś przede wszystkim w kraju socjalizmu.

Honoré Balzac

KONTRAKT ŚLUBNY*)

Ten dzień był dla Pawła pierwszą u-tarczką długiej i nużącej wojny zwa-nej małżeństwem. Trzeba tedy u-stalić siły obu stron, pozycję wal-czących i teren operacyjny. Aby stawić czoło walce, o której donio-ści nie miał pojęcia, Paweł miał za ca-łą pomoc starego reagenta. Obaj mieli być zaskoczeni nieoczekiwanym wypadkiem, przy-ścięci przez nieprzyjaciela, który miał go-towy plan i zmuszeni decydować się, nie ma-jąc czasu do namysłu... Jak uwierzyć w prze-wrotność tam, gdzie wszystko wydaje się proste i naturalne? Co mógł Mathias, sam, przeciw pani Evangélista, przeciw Soloneto-wi i przeciw Natalii, zwłaszcza gdy jego za-kochany klient przesyłał na stronę nie-przyjaciela z chwilą gdyby coś groziło jego szczęściu? Już Paweł brnął w komplementy, zwyczajne między zakochanymi, ale którym jego namiętność dawała olbrzymią wagę w oczach pani Evangélista, pchającej go do te-go, aby sobie przetrzął odwrot.

Owi kondotierzy matrymonialni, którzy mieli bić się za swoich klientów i których siły były tak ważne w tym spotkaniu — dwaj rejenci — przedstawiali dawne i nowe obyczaje, dawny i nowy notariat...
...Po obiedzie dwaj pełnomocnicy zostawili kochanków z matką, i udali się do pokoju przeznaczanego na tę naradę. Rozegrała się tedy podwójna scena: w salonie przy komin-ku, scena miłosna, w której życie zdawało się uśmiechnięte i radosne; obok scena po-ważna i ponura, w której obnażony interes z wczasu grał ową rolę, jaką odgrywa pod kwiecistymi pozorami życia.

— Drogi mistrzu, rzekł Solonet do Mathia-sa, akt zostanie w pańskiej kancelarii, wiem, co jestem winien starszemu koledze.
Mathias skłonił się poważnie.
— Ale, ciągnął Solonet, rozwijając projekt zbytecznego aktu, który kazał naszkicować, — ponieważ my jesteśmy jako panna stroną uciśnioną — ułożyłem kontrakt, aby panu oszczędzić trudu. Wychodzimy za mąż na zasądzie praw ojczystych, ergo wspólności ma-jątkowej; dziedziczenie całego majątku przez współmałżonka pozostałego przy życiu na wypadek zgonu bez spadkobiercy, w innym wypadku użytkowanie jednej czwartej ma-jątku, pełna zaś własność drugiej ćwierci; su-ma wniesiona do wspólnoty stanowiąc będzie jedną czwartą właściwego wkładu, pozosta-łym zaś przy życiu małżonkom przypadną ruchomości bez obowiązku inwentarza. Wszy-stko to jest jasne jak dzień.

— Ta, ta, ta, rzekł Mathias, ja nie za-latwiam interesu tak jak się śpiewa aryjkę. Jaki jest wasz stan posiadania?
— A wasz? — rzekł Solonet.
— Naszym wianem są dobra Lanstrac, da-jące dwadzieścia trzy tysiące funtów renty w gotowiznie, nie licząc produktów. Item, folwarki Grassol i Guadet, warte po trzy ty-siące sześćset funtów renty. Item, winnica Belle-Rose, przynosząca rokrocznie szesna-scie tysięcy funtów; łącznie czterdzieści sześć tysięcy dwieście franków renty. Item, pa-lac rodzinny w Bordeaux, opodatkowany w dziewięćset frankach. Item, piękny dom z ogrodem w Paryżu, opodatkowany w tysią-cu pięćset frankach. Te posiadłości, któ-rych tytuły własności znajdują się u mnie, pochodzą ze spadku po rodzicach, z wyjąt-kiem domu w Paryżu, który nabyliśmy sami. Musimy również polityczny urządzenie naszych dwóch domów oraz zamku w Lanstrac, osza-rosowane na czterysta pięćdziesiąt tysięcy. Oto stół, obrus i pierwsze danie. Co dajecie na drugie danie i na deser?

— Nasz majątek — rzekł Solonet.
— Wyszczególnij go, drogi kolego — rzekł Mathias. Co mi przyniosiecie? Gdzie jest in-ventarz, po śmierci pana Evangélista? Pokaż-cie mi likwidację, lokatę kapitałów. Gdzie są wasze kapitały, o ile jest kapitał? Gdzie posiadłość, o ile są posiadłości? Słowem, po-każcie nam rachunek z opieki i powiedzcie co wam daje lub zapewnia matka.
— Czy hrabia de Manerville kocha pannę Evangélistę?

— Chce ją pojąć, jeśli wszystkie okoliczno-ści będą nam odpowiadały — rzekł stary re-jent. — Nie jestem dziecko, chodzi tu o nasze interesy, nie o uczucia.

— Sprawa weźmie w łeb, jeśli nie okaże-cie się wspaniałomyślni. Oto czemu — rzekł Solonet. — Nie zrobiliśmy inwentarza po śmierci męża, byliśmy Hiszpanką, kreolką i nie znaliśmy praw francuskich. Zresztą byli-śmy pogrążeni w zbyt wielkiej boleści, aby wysłuchać o nędznych formalnościach, które są wszystkim dla ludzi bez serca. Wiadomo, że nieboszczyk ubóstwiał nas i że opłakiwaliśmy go srodze. Jeśli mamy likwidację, poprzedzo-ną przez inwentaryzację dokonaną w duchu powszechnej opinii, podziękujcie za to opie-kunowi, który zmusił nas do ujawnienia stan-u rzeczy i do przyznania córce określonego majątku, w chwili gdy koniecznym było wy-cofać z Londynu angielską rentę od olbrzy-miego kapitału, który chcieliśmy ulokować w Paryżu, gdzie podwojono nam procenty.

— Nie opowiadacie nam głupstw. Istnieją sposoby sprawdzenia. Jaki wpłaciłście podatek spadkowy? Cyfra wystarczy nam do u-stalenia. Idźmy prosto do rzeczy. Powiedźcie szczerze, coście wzięli i co wam zostało. Ano, jeżeli jesteśmy bardzo zakochani, zobaczymy.
— Jeżeli się chcecie żenić z nami dla pie-niędzy, możecie zaraz pakować mananki. Ma-my prawo przesłać do miliona. Ale został na-szej matce tylko ten pałac, meble i czterysta tysięcy, ulokowane około r. 1817 na 5 od sta, dające czterdzieści tysięcy franków dochodu.

*) Wyjątek z mającego się wkrótce ukazać nakładem „Książki i Wiedzy” wznowienia powieści Balzaka zatytułowanej „Kontrakt ślubny”.

— W jakim sposób prowadzicie dom pochła-niający sto tysięcy franków rocznie? — wy-krzyknął Mathias przerażony.

— Córka kosztowała nas złote góry. Zreszt-ą, lubimy wydatki. Koniec końców wasze je-remiady nie wrócą nam ani szeląga.

— Mając pięćdziesiąt tysięcy franków renty panny Natalii, mogliście ją wychować suto, nie rujnując się. Ale, skoroście jedli z takim apetytem będąc panną, będziecie żreć wy-szedłszy za mąż.

— Zostawcie nas tedy w spokoju — rzekł Solonet; — najpiękniejsza dziewczyna w świe-cie musi zjadać więcej niż ma.

— Pójdę powiedzieć słówko memu klien-towi — odparł stary rejent.

— Idź, idź, stary Kasandrze, idź, powiedz klientowi, że nie mamy ani szeląga — myślał Solonet...

...— Natalia jest tak piękna — szepnął (Pa-weł) teściowej — że pojmując szaf, który każe nam opłacić rozkosz śmiercią.

Pani Evangélista odpowiedziała potrząsa-jąc głową: — Frazesy! Mąż nie opowiadał mi takich historii; ale wziął mnie bez majątku i przez trzydzieści lat nie sprawił mi przykro-ści.

— Czy to lekcja? — rzekł Paweł śmiejąc się.

— Wiesz, jak cię kocham, drogie dziecko! — rzekła ściskając mu rękę. — Zresztą, czyż nie trzeba bardzo cię kochać, aby ci dać moją Natę?

— Dać mnie, dać mnie? — rzekła dziewczyna śmiejąc się i poruszając wachlarzem z piór indyjskich ptaków. — Co wy tam szepacie?

— Mówiłem — odrzekł Paweł — jak bar-dzo pania kocham, skoro formy zabraniają mi wyrazić pani moich pragnień.

— Czemu?

— Lękam się siebie.

Pierre Daix

BALZAK DZISIAJ*)

„Autor tego olbrzymiego dzieła, czy tego chce, czy nie chce, należy do silnej rasy rewolucyjnej”.

Victor Hugo „Mowa na pogrzebie H. de Balzaka”.

W

roku balzakowskim przypada 150 rocznica urodzin (20 maja 1949 r.) i 100 rocznica śmierci (19 sierpnia 1950 r.) pisarza. Lata ukraińskiej agonii Balzaka zbiegają się z agonią re-wołucji, okrutne i nieublagane lata upadku, dogorywania pisarza w pustynnej Wiercho-wni. Grał o zabezpieczenie, o niezależność finansową. Potem ślub z panią Hańską i straszny powrót przez Polskę i Niemcy, dyszące jeszcze w ostatnich drgnięciach wiosny wolności, która kończyła się krwawym latem zwolenników porządku. Przybył wreszcie do Francji, w której prawo 31 maja wyłączało proletariatu z udziału we władzy politycznej. Przybył do Francji, w której „trzecia siła” po dokonaniu burżuazyjnego zamachu stanu oddała się za związanymi rękami i nogami Ludwikowi Napoleonowi. Oddała się dla lepszej obrony własności — na nieszczęście narodu.

Rok 1850 jest kresem marzeń. O czymże można marzyć bez wstydu, bez ucieczki, bez marzenia dla samego marzenia. Tu jest kres ambicji dwóch pokoleń myślicieli, wierzą-cych, że wystarczy ukazać ideał, aby ucieleśnić się on w burżuazji, tej burżuazji, która marzyła tylko o z bogaceniu się i pochwy-ceniu władzy. Zostały rzucone kości, które przekreśliły na zawsze utopijne koncepcje. Potwierdza to 18 brumaire’a Ludwika Napo-leona. W Londynie Karol Marks kończy pi-sać „Walkę klas we Francji”, pierwszą ilu-

*) Fragmenty artykułu, zamieszczonego w organie marksistów francuskich „La Nouvelle Critique”, pióra czołowego postępowego krytyka literackiego Francji P. Daixa, ustalają podstawy stosunku francuskiego obozu postępu do puścizny balzakowskiej.

Fryderyk Engels

O BALZAKU

Balzak, którego uważam za doskonalszego mistrza realizmu niż wszyscy pisarze pokroju Zola w przeszłości, teraźniejszości i przyszło-ści, stworzył w „Komedii ludzkiej” wspaniałą realistyczną historię francuskiego społeczeń-stwa. Zobrazował on w sposób kronikarski, rok po roku od 1816 do 1848, wzmagające się ataki krępującej burżuazji przeciwko arysto-kracji, która, odrodzona po roku 1815, podno-siła jak najwyższą sztandar „de vieille poli-tesse française” (starego francuskiego stylu życia). Balzak ukazał, w jaki sposób ostatnie niedobitki wzorowego dla społeczeństwa u-legły naporowi ordynarnych, bogatych dobro-kiewiczów lub też zostały przez nich skorun-powane; jak wielka dama, dla której zdrada małżeńska była tylko środkiem potwierdzenia własnej osobowości, odpowiadającym w pełni specybowi, w jaki rozporządzano nią w mał-żeństwie, ustąpiła miejsca mieszczone wychodzą-cej za mąż dla pieniędzy lub strojów. Wokół tego centralnego obrazu skoncentrował Bal-zak pełną historię społeczeństwa francuskie-go, w której nawet w odniesieniu do szczegó-łowych zagadnień ekonomicznych... nauczy-łem się więcej niż ze wszystkich dzieł histo-ryków, ekonomistów i statystyków zawodo-

— Och, jest pan za sprytny, aby nie umieć dobrze oprawić klejnotów pochlebstwa. Chce pan, abym powiedziała, co myślę? A więc, wydaje mi się pan zbyt inteligentny, bardziej niżby przystało zakochanemu. Być kwiatem młodzieży i posiadać pańską główkę — rzekła spuszczając oczy, to za wiele atutów i po-winno się wybierać. Ja też się boję!

— Czego?

— Nie mówmy tak. Nie uważasz mamę, że ta rozmowa jest niebezpieczna, póki kontrakt nie będzie podpisany?

— Za chwilę będzie — rzekł Paweł.

— Chciałabym wiedzieć, co tam sobie mó-wią Achilles z Nestorem — rzekła Natalia wskazując gestem dziecinnej ciekawości drzwi saloniku.

— Mówią o naszych dzieciach, o naszej śmierci i tym podobnych głupstwach; liczą nasze talary, aby nam powiedzieć, czy zawsze będziemy mieli pięć koni w stajni. Zajmują się też dotacjami, ale ja ich uprzędziłem.

— Jakto? — rzekła Natalia.

— Czyż nie oddałem się już cały? — rzekł spoglądając na młodą dziewczynę, której piękność zdwoiła się, kiedy przyjemność spo-wodowana tą odpowiedzią ubarwiła jej twarz.

...— Drogie dziecko — rzekła pani Evangéli-sta — czyż wy moglibyście zostać w Bordeaux przez pierwsze dni po ślubie? Jeśli macie od-wagę zetknąć się ze światem, który was zna, śledzi, kępuje, zgoda! Ale, jeśli czujecie obo-je ową wstydliwą uczu, która ścisła duszę i nie da się wyrazić, pojedźmy do Paryża, gdzie życie młodego stadła gubi się w wirze stolicy. Tam jedynie możecie żyć jak para ko-chanków, nie obawiając się śmieśności.

— Masz rację, mamę, nie myślałem o tym. Ale zaledwie będę miał czas przygotować dom. Napiszę dziś jeszcze do mego przyjaciela de Marsaya, jedynego, na którego mogę liczyć, że popędzi robotników.



Antagonizm klas
współczesny rysunek satyryczny

W chwili, gdy, podobny młodym ludziom nawykłym zaspakając swe zachcenia bez poprzedniej rachuby, Paweł brnął niebacznie w kosza pobytu w Paryżu, stary Mathias wszedł do salonu i dał znak swemu klientowi, że chce z nim pomówić.

— Co takiego, drogi panie? — rzekł Paweł idąc za rejentem ku oknu.

— Panie hrabio — rzekł pocztowiec — nie ma ani grosza posagu. Moja rada jest, aby odłożyć konferencję do innego dnia, iżby pan mógł się należycie zastanowić.

stracę materializmu historycznego, nierów-nany wzór krytyki politycznej. Nie chodzi już o marzenia, nie chodzi już o zrozumienie świata, należy go zmienić. Courbet pisał: „Tak, trzeba wprowadzić hołotę do sztuki! Za długo już współcześni malarze tworzą ze zmyślenia lub powtarzają tematy”. A później ostra krytyka minionego okresu: „Po cóż miałbym szukać rzeczy nieistniejących i nie-kształcać wysiłkiem wyobraźni rzeczy istnie-jące”.

Nadchodzi teraz czas, gdy wyobraźnia za-przeczy rzeczywistości. Świat zewnętrzny przeczy prawu do marzenia, czyli realizm nie ma podstaw, nie ma przyszłości, jest krytycz-ny i niszczyielski.
„Wychowanie sentymentalne” dowodzi, że ustrój społeczny doszedł do momentu rozkładu i że trzeba będzie go gruntownie zmie-nić” — pisała George Sand do Flauberta w roku 1870. Następuje nieograniczony rozwój naturalizmu. Trzeba było sześćdziesięciu siedmiu lat, Komuny Paryskiej, roku 1905, dwóch wojen i roku 1917, żeby marzenie zwoln wywalczyło sobie prawo złączenia się z rzeczywistością w dialektyce historii, uję-tej doimi zwycięskiego proletariatu. Sześć-dziesiąt siedem lat minąć musiało, żeby pi-sarzom wolno było oświecić świat blaskiem przyszłości człowieka, żeby nadzieja ludzko-ści ucieleśniała się na szlakah walki klasy robotniczej. Lenin zatem może napisać: „Trze-ba marzyć”.

Z perspektywy stu lat Balzak jest rewolu-cjonista, ponieważ bierzemy zeń jego kryty-cyzm, niechając marzenia; ponieważ wiek historii proletariatu pozwala dziś należycie ocenić zastawioną nam spuściznę. Balzak jest odpowiednikiem Hegla w literaturze.

„Wróćmy do rzeczywistości. Mówmy o Eugeniu Grandet.”

Balzak do Jules Sandeau.

Co nam daje nieocenione bogactwo Balzaka, co już przed sześćdziesięciu przeszło la-

ty zanotował Engels, to nie tylko rezultat sprzeczności historycznych epok: realizm „Komedii ludzkiej”. Tam jeszcze raz może-my stwierdzić, w jaki sposób układ politycz-ny warunkuje w pewnym momencie rozwią-zanie zagadnień kulturalnych. Sądzę, że taka właśnie krytyka pozwoli analizować warun-ki, w jakich odbywa się przekazanie nam dzieła Balzaka. Jest ona niezbędnie potrzeb-na w epoce takiej jak nasza, gdzie te same żądania, które skierowały Merimée’go i Stend-hala do kontrahandy politycznej, a Balzaka do legitymizmu, doprowadziły artystów i pi-sarzy do opowiedzenia się po stronie komu-nizmu, do zrealizowania związku płodnego i koniecznego, związku postępu ich twór-czości z postępem historii. Jest o czym pomy-śleć, jeśli chodzi o trudność w podjęciu spad-ku przeszłości. Oto spadek, którego musimy się wyprzeć, by go otrzymać żywym. Zda-now wyprzedził nas, pisząc: „Zaprzeczenie zawiera w sobie dziedziczenie. Zawiera dzie-dziczenie, to znaczy przystosowanie, zjedno-czenie w wyższej syntezie wszystkich myśli postępu”.

Oto w takim kontekście należy umieścić twórczość Balzaka, tak by była wstępem, etapem decydującym w ewolucji, o której dziś wiemy, że doprowadziła do realizmu so-cjalistycznego.

Praktyczna prawda doświadczenia Balzaka wskazuje, że powieść realistyczna jest jed-nym ze środków poznania świata; że jej pra-wa są prawami świata, jej logika — logiką rzeczywistości; że estetyka realistyczna jest jedynie szluzna.

Ale droga, która wiodła od romantyzmu do realizmu socjalistycznego wypisała swój szlak w historii walkami politycznymi pro-letariatu. Kłęska roku 1848 wprowadziła roz-dźwięk nie do pogodzenia między dwa ele-menty przeciwstawne, których „Komedie ludzka” jest nieświadomą syntezą. Krytyka świata przeczy nadziei, marzenie przeczy rze-czywistości. Rozdarte sumienia, dezoriento-wane umysły intelektualistów francuskich między jedną a drugą kłęską proletariatu w jego walce o wolność nie potrafią już uchwy-cić „przyczyny postępu w społeczeństwie”, a rzeczywistość, konkret zagubi się w ich poszukiwaniach. Dramat zmienia się w tra-gedię, aż do dnia, w którym, jak błyskawica Komuny dla Courbete, burza ogromna 1917 roku wstrząśnie światem i pokaże najlep-szym spośród myślicieli francuskich, że w momencie zrealizowania nadziei ludzkości przez proletariatu poszukiwanie rzeczywistości wymaga drogi odwrotnej niż ta, którą szedł Balzak, pokaże, że w polityce szukać należy rozwiązania niepokonalnych sprzecz-ności estetyki.

Realizm nie jest i nie może być owocem nieświadomości, ale przeciwnie, musi być wy-nikiem pełnej świadomości politycznej. Real-izm socjalistyczny jest to przede wszystkim koncepcja świata, która opiera się na rzeczy-wistym postępie historii. Jest to walcząca aktywność polityczna. Trzeba, by artysta brał udział w prawdziwej walce ludzi o zmia-nę świata po to, aby mógł wyrazić prawdę świata. A dziś kłamstwu politycznemu odpo-wiada upadek, rozkład estetyki. Rzeczy-wistość jest jedna, nie można zaprzeczyć jej w życiu, a wyrazić w sztuce. Nie można uchwy-cić jej w sztuce, jeśli się na nią nie działa, a to osiągnąć można tylko przez walkę u bo-ku klasy robotniczej.

Być balzakistą dziś — to zaprzeczać Bal-zakowi, to walczyć o realizm socjalistyczny.

tum. Jerzy Działak

Anna Kamińska

„REWOLUCJA OŚWIATY” W GALICJI

Jeszcze za redaktorstwa Czesława Pieniżka w roku 1875 propagował „Wieniec” wśród chłopów swolsty patriotyzm gminny. Nie wyrwać się zbyt daleko, zaczynać od działacza na terenie gminy, której od dawna istniejącego samorządu nie umiemy wykozystać, a nie od sejm, gdzie śmiało zastąpią nas inni.

Nowa gmina, gmina wzorowa winna posiadać nowe społeczne instytucje, bez których dawna obywatela się dobrze. Są to: szkoła, śpichlerz gminny, kasa zaliczkowa i gazeta. Gazeta występuje tu więc wyraźnie jako instytucja spełniająca funkcję oświatową - obywatelską obok instytucji gospodarczych typu, jak widzimy, raczej ratunkowego niż postępowego. Ratunkowego — w okresie głębokiego kryzysu ekonomicznego Galicji i jej rolnictwa.

Istotnie po przejęciu redakcji „Wienca” i „Pszczółki” przez ks. Stanisława Stojalowskiego — gazeta staje się po raz pierwszy w historii wsi galicyjskiej czynnikiem organizacji kultury, a nie tylko narzędziem urabiania opinii wsi.

Wzorem działania w tym kierunku staje się dla ks. Stojalowskiego ożywiony wcześniej ruch kulturalno-polityczny wśród chłopów w W. Ks. Poznańskim, gdzie działacze inteligencji wykorzystując jako trybuny 6 istniejących pism ludowych zwołują lud na wiece polityczne, organizują i uświadamiają w sprawach narodowych. „Wieniec” notuje te wiece zawsze z aplauzem i podaje dokładne z nich sprawozdania.

Tak np. 15 października 1875 roku odbył się wiec ludowy w Trzemesznie, gdzie p. Bentkowski z Czarnotula mówił o prawach języka polskiego w szkole, sądownictwie i w urzędach. Wiec ten powziął wniosek o rozkrzewianiu wśród ludu pism polskich. Pojęcie wiecu odstraszało musiało opinię społeczną a może i władze konstytucyjnego, parlamentarnego kraju, skoro ks. Stojalowski uważa za konieczne wyjaśnić jego istotę i pochodzenie. „Wiecie to staropolski sposób naradzenia się nad dobrem popoliłym”. Wiece galicyjskie z powodu niedojrzałości ludu służyć raczej pouczaniu go w sprawach społecznych i gospodarczych i jako takie są najlepszym środkiem społecznej agitacji. „Lud słucha tych mów i nauk — pisze ks. Stojalowski — tak samo, jak słucha w kościele słowa Bożego, a w szkole nauki, to jest bez rozpraw i dyskusji — tak, że na wiecu nie ma rozprawiania, ale jedni pouczają, a drudzy słuchają”.

Toteż na wzór wieców wielkopolskich redakcja „Wienca” i „Pszczółki” zwołała wiec chłopów w Krakowie w roku 1878. Na wiecu tym zawiązano **Towarzystwo Oświaty Ludowej**. Towarzystwa podobne powstawały już w Galicji i upadały albo wskutek odsunięcia się protektorów, albo zbyt małej liczby członków i bierności masy chłopskiej.

W roku 1867 powstały w Krakowie dwa towarzystwa oświatowe — jedno hr. Adama Potockiego, drugie ks. Adama Sapiehy. Upadły one po 2 latach. W Krakowie, Tarnowie, Łańcuchu i w paru innych miejscach istniało Towarzystwo Ludowe „Mrówki” — bardzo słabe. Działo też w Galicji od roku 1875 Towarzystwo im. Michała Kaczkowskiego — obejmowało ono jednak tylko lud ruski.

Redakcji „Wienca” i „Pszczółki” przyswiewcały w tej inicjatywie organizowania kultury wsi cele ściśle polityczne. Celem Towarzystwa miało być „dobro ludu” i idące za nim „dobro ojczyzny”, a to przez propagowanie ducha „zgody, jedności i miłości społecznej” czyli „połączenie wszystkich stanów”. Ponieważ zaś założyciele Towarzystwa sądzili, że taka jedność społeczna możliwa jest do osiągnięcia tylko na gruncie jednego wyznania — zastrzegli w statucie, że członkami Towarzystwa mogą być tylko katolicy. Później w toku prac Towarzystwa zdarzało się tu i ówdzie, że do Towarzystwa chcieli się wciągnąć Żydzi, inteligencja żydowska; koła zwracali się wówczas do redakcji z zapytaniem, jak w takim razie postępować. Redakcja przyznawała jednak tym Żydom tylko prawa członków wspierających materialnie, ale nie czynnych. Zastrzeżenie o obowiązkowym dla członków wyznaniu katolickim skierowane było również przeciwko możliwej infiltracji chłopów ukraińskich wyznania prawosławnego. Zwyczajnymi członkami Towarzystwa mieli być chłop i mieszczanie, honorowymi — wspierający Towarzystwo panowie.

Prace wewnętrzne Towarzystwa Oświaty Ludowej miały początkowo charakter wyłącznie oświatowo-moralny. Działo ono poprzez czytelnice organizowane w gminach. § 6 ustawy Towarzystwa zalecał i nakazywał: „co niedzielę i święta zgrupować się na wspólne czytanie w szkole lub też w domach”. Wspólne czytanie miało być czytaniem przede wszystkim gazety, a więc „Wienca” i „Pszczółki”, poza tym książek historycznych lub religijnych, jeżeli takie są członkom koła dostępne, następnie zalecano gry historyczne i geograficzne. Książek do domu nie pożyczają — radzi redakcja — żeby się nie niszczyły. Tak więc powstaje w szeregu wsi instytucja wspierająca się o gazetę, działająca i pozostająca pod jej inspiracją oświatową, kulturalną, polityczną. Ta nasila się zwłaszcza w okresach wyborów do władz gminnych i sejm — kiedy pismo po prostu przedstawia kandydatów i zaleca: głosuj na tego a nie na tamtego... głosuj na księdza... głosuj na pana... głosuj na takiego chłopca, który...

W zakres roboty umoralniania ludu wchodził nie mniej polityczny w założeniu paragraf statutu Towarzystwa nakazujący członkom unikania karczm i pijanstwa. Chłopa skłania do karczmy 1) rozrywka i towarzystwo, 2) uprzejmość, poufalość, miłoność arendarza, oddziałująca dodatnio na poczucie godności chłopca. Nawiasem należy dodać, że propinację zniesiono w Galicji dopiero w roku 1890. Hasło: unikać karczmy — na razie ma moralne, potem coraz bardziej widoczne gospodarczo-polityczne znaczenie, gdy do ideologii Towarzystwa przedostaje się tendencja tworzenia na wsi polskiego drobnonieszcznia przed wszystkim ze zubożonych chłopów.

W roku 1879 „Wieniec” i „Pszczółka” liczyły sobie 1500 prenumeratorów. Chłopi w tej liczbie stanowią tylko część. Oczywiście nie wszyscy oni stają się członkami Towarzystwa, nie wszyscy podlegają błogosławieństwu, jakie spadają na tych, „którzy do naszej rewolucji oświaty należą”. Aby powstała czytelnia lub koło Towarzystwa Oświaty Ludowej, trzeba było zorganizować pracę i pokierować w oparciu o inspirację gazety. Takimi działaczami rzadko jeszcze stawali się chłopci, bardzo rzadko także, ku ubolewaniu redakcji — panowie, najczęściej zaś księża, którzy także wybierani byli przez samych kół.

W ciągu roku 1879 zawiązało się 24 kółka Towarzystwa Oświaty Ludowej w Galicji; do marca 80 r., w którym redakcja przedstawia sprawozdanie, kół powstało 31. Liczba członków łączna wynosi wówczas 494, w tym 3 honorowi — a więc 3 osoby nie będące chłopami.

Budżet Towarzystwa przedstawia się dość załóżnie. Według wyciągu rachunkowego podanego w numerze z roku 1880 — Towarzystwo uzyskało ze składek członków zwyczajnych — 166 zł 35 ct., ze składek członków honorowych 40 zł. — razem przychód ogólny Towarzystwa wyniósł 206 zł 35 ct. Pieniądze te zużyte zostały prawie w całości na cele organizacyjne — druk projektu statutów, kart wpisowych, książeczek członkowskich, na koszty podróży delegatów na zebrania i inne koszty administracyjne. W kasie Towarzystwa pozostało 4 zł 15 ct. Przy tym 260 członków, a więc większość, zalegała z opłatami. W tych zalegających ze składkami wolno oczywiście widzieć znaczną większość „martwych”, cyfrowych tylko członków Towarzystwa.

Maciej Szarek — wierszopis i pamiętnikarz chłopski tak w nr I „Wienca” wita rok 1879:

„A witajże roku nowy — dajże nam Boże zdrowie,
A zacnijmy wspólną pracę, chłopcy i panowie!
Nie zważajmy na stan własny jaki posiadamy,
Czy to chłopiec, szlachcic, mieszczan, wszyscy się zbratamy.
Przypatrzmy się braciom naszym pod pruskim zaborem,
Gdy tam mieszczuch, szlachcic, chłopiec idą jednym torem,
Wstyd to dla nas, bracia mili, że tak nie żyjemy,
Z tej wolności, z której mamy korzystać nie chcemy...”

„Z tej wolności” czyli samorządu i konstytucyjnych swobód chłopci korzystać nie chcieli i nie mogli. Nagle i bez przygotowania całą ciemną masą przeniesieni zostali ze stanu poddaństwa w stan konstytucyjnej wolności, a dla siebie nędy i nowych zależności gospodarczych.

Nic też dziwnego, że tak mała liczba chłopów zgłosiła się do Towarzystwa Oświaty Ludowej, które miało przecież ambicję stać się organizacją masową chłopów, uzupełnić tę ogromną lukę oświatową, jakiej już szkoła zasypać nie mogła, a na przyszłość zasypywała tylko bardzo mozolnie i powoli, ciemność masy chłopskiej obywatelskiej. Tak więc Towarzystwo Oświaty Ludowej miało w istocie pełnić funkcje instytucji oświaty dorosłych.

Mizerne wyniki akcji moralno-oświatowej kazały inicjatorom i organizatorom ruchu, a więc przede wszystkim redakcji „Wienca” i „Pszczółki” przesunąć prace Towarzystwa na tory bardziej praktyczne. Tak więc w rok po utworzeniu Towarzystwa Oświaty Ludowej redakcja powołała nowy wiec w Krakowie połączony z pielgrzymką pobożną i narodową do grobu św. Stanisława. Na wiecu tym, będącym zjazdem chłopów — prenumeratorów gazety i członków Towarzystwa pozostających w rozporządzeniu redakcji gazety — założono nową instytucję kulturalno-gospodarczą — kółka rolnicze. Kółka rolnicze to „najlepsze i najpewniejsze lekarstwo na biedy włościańskie” — mówił ks. Stojalowski. Połączenie kół Towarzystwa Oświaty Ludowej i kół rolniczych przekształciło, upraktyniło charakter samego Towarzystwa. W roku 1880 dyrekcja Towarzystwa działająca faktycznie w redakcji „Wienca” i „Pszczółki” wystąpiła z projektem zmiany statutu i nazwy Towarzystwa na Towarzystwo Ludowe Oświaty i Pracy. Według nowego statutu każde koło Towarzystwa Oświaty miało być oddziałem Towarzystwa rolniczego.

7 marca 1880 roku odbył się walne zebranie delegatów Towarzystwa Oświaty Ludowej, na którym omówiono projekt i nowy etap pracy i rozwoju organizacji. Ks. Stojalowski chciał widzieć w kółkach Towarzystwa placówki gospodarcze, będące na wsi czołwo-

kami postępu technicznego i wiedzy rolniczej — będące jednocześnie czynnikiem usamodzielnienia gospodarczego wsi — przez co rozumiał wydobycie się spod wpływu gospodarczego Żydów. Zdarzył się gdzieś wypadek, że Żyd kupił młocarnię i dorobił się majątku wypożyczając chłopom maszynę za opłatą dzienną i zł. Żyd ten według redaktora „Wienca” wskazał kołom rolniczym kierunek zysku i zdobycia wpływu na wieś poprzez wzbogacenie się członków koła. Ten sam cel — otwarcie możliwości indywidualnego wzbogacenia się dla zubożonych chłopów — przyswiewca propagowaniu sklepikarstwa na wsi. Chodzi tu zresztą nie tylko o spółdzielnie, a raczej spółki chłopskie, ale także o prywatną akcję gospodarza. Z czasem Towarzystwo ofiarowuje kredyt tym chłopom, którzy chcą otworzyć sklepik na wsi, a zwrócić się do Towarzystwa przedstawiając świadectwo uczciwości od swego proboszcza. Sklepiki takie nie naruszają przecież zasad systemu gospodarczego wymiany na wsi zastępują kapitał żydowski kapitałkiem chłopskim.

Rok niemal toczył się starania około zatwierdzenia w Radzie Państwa statutów nowego Towarzystwa. Cele i środki działania Towarzystwa Ludowego Oświaty i Pracy według zatwierdzonego statutu przedstawiały się o wiele konkretniej niż Towarzystwa Oświaty. „Wieniec” drukował je in extenso.

§ 2. Cel. Szerzenie oświaty między ludem polskim i ruskim w duchu katolicko-narodowym i praca nad podniesieniem rolnictwa i drobnego przemysłu we wszystkich jego gałęziach.

§ 3. Środki. Szerzenie nauki czytania i pisanie dla dorosłych, wydawanie pism i dzieł ludowych i gospodarczych, rozprzedawanie książek nakładem Towarzystwa wydanych po najniższych cenach, ułatwienie zdobycia maszyn rolniczych i narzędzi gospodarczych, wspieranie przemysłu domowego, odczyty i usne pouczanie ludu na Walnych Zgromadzeniach, zjazdach i wiecach, odwiedzanie gospodarstw wzorowych, zakładanie bibliotek i czytelnicy po wsiach i miasteczkach.

W roku 1882 powstaje nowe towarzystwo oświatowe w Galicji z siedzibą we Lwowie, obdarzone autorytetem inicjatora i kierownika, J. I. Kraszewskiego — Macierz Polska. Głównym jej celem jest wydawanie książek dla ludu wiejskiego i miejskiego. W Radzie Macierzy zasiadają: członek Sejmu Galicyjskiego, członek Koła Polskiego w Sejmie Pruskim, jeden obywatel z zaboru rosyjskiego i kapłan katolicki. Powaga i szeroki zasięg oddziaływania Macierzy łączącej w swej Radzie przedstawicieli wszystkich zaborów osłabia znowu kulturalną dziedzinę prac Towarzystwa Oświaty i Pracy. „Wieniec” zaczyna wreszcie narzekać na to, że powstają w Galicji nowe towarzystwa oświatowe i dublują robotę redakcji pod pozorem, że kierunek Towarzystwa Oświaty i Pracy wydaje im się zbyt pobożny. Rozbieżności zdań co do interesów i dobra ludu wywołują się redakcji nieistotne.

„Potrzeba zdaniem naszym jednej tylko rzeczy — pisze redakcja. — Potrzeba pamiętać na to, że jeżeli kraj nasz jest krajem rolniczym, to lud nasz jest też ludem rolniczym”. Toteż cały nacisk prac Towarzystwa przenosi się na stronę gospodarczą. Celem staje się podniesienie rolnictwa z kryzysu ekonomicznego i wychowanie członków Towarzystwa „na dobrych gospodarzy”.

Jako dodatek do „Wienca” i „Pszczółki” zaczyna wychodzić miesięcznik fachowy „Gospodarz i Rękodzielnik”, a Towarzystwo zaczyna się nazywać po prostu Towarzystwem Kółek Rolniczych.

„Wieniec” chlubi się z początkiem 1882 roku, że istnieje w Galicji już prawie 20 kółek Towarzystwa. Jak organizują się one i działają, przedstawia nam jedno z ciekawszych drukowanych sprawozdań — sprawozdanie kółka w Zubrzy. Przytaczam je w całości dla pewnych charakterystycznych szczegółów: „Sprawozdanie kółka w Zubrzy do Dyrekcji:

1. Kółko zostało zawiązane na dniu 9 stycznia 1881 r. i liczy obecnie członków 18.

2. Zarząd. Przewodniczącym Antoni Maślanka, zastępcami: Marcin Kasprzewicz i Marcin Smolnicki; skarbnikiem: Jakób Pelc.

3. Fundusz. Wkładki i wstępne złożono wszystkie, mianowicie: (za członków 13, bo tytuł do końca roku 1881 kółko liczyło)

wstępnego	1 zł 40 ct.
wkładek	13 zł —
Razem	14 zł 40 ct.
Wydano	4 zł 78 ct.
Pozostaje	
w kasie	9 zł 62 ct.

Kwota ta złożona w galicyjskiej kasie oszczędności do dalszego rozporządzenia.

4. Posiedzenia w rokueszłym odbyło kółko tylko 6. Natomiast regularnie w święta i niedziele po niesporach schodzą się członkowie do szkoły na czytanekę, gdzie przewodniczący odczytuje na głos książki, gazety itp. W tym czasie czytano „O niebie i ziemi” Anczyca — O rzeczach publicznych, listy Horoszkiewicza, Wieczory Supińskiego, z dziełek Forstera 2 opowiadań: O Kozurze Antonim. — Opowiadania Goczałkowskiej, Wieczory pod Lipą i wiele tp. także „Wieniec” i „Pszczółkę” i „Gospodarza — Gazetę Wiejską” i co się dało. Także był jeden odczyt o „nawozie” przez

przewodniczącego Maślankę. O gospodarstwie zaś przy każdej najmniejszej sposobności stara się przewodniczący o rozwinięcie dyskusji, co się często i dobrze udaje.

Także odbyło kółko wycieczkę do Dublan — zwiedziło wystawę „Przemysłu domowego i robót kobiecych”, „Muzeum Dzieduszyckich”. Także było kółko w teatrze na 2 przedstawieniach: „Kościusko pod Racławicami” i „Krakowiacy i Górale”.

5. Biblioteka i czytelnia urządzona w szkole miejscowej liczy 37 dzieł rozmaitej treści, przeważnie gospodarskiej. Dziełka otrzymało kółko jako dar z Rady oddziału lwowskiego Towarzystwa Gospodarczego lub od innych osób.

6. Gazety opłaca się następująco: „Wieniec” i „Pszczółkę” i „Gospodarza-Rękodzielnika”. Zaś Gazetę Wiejską wypożycza przewodniczący.

Uwaga. Sklepik wiejski w Zubrzy założonym być nie może dla bliskości miasta (a małych funduszy) gdzie wszyskiego, nawet taniej niż gdzieindziej dostać można. Tylko z solą możnaby założyć handel, rzędono o tym, ale mało grosza, więc niech jeszcze kobiety sół we Lwowie kupują. Narzędzi nie sądamy, natomiast brak nam ale straszny rozplodnika buhaja. — Co tu robić?! — Kupić! — Gdzie i za co?! Kiedy nasza kieszeń jeszcze za płytka, czyli lepiej próżna. Ale Bóg radzi o swej czeladzi — jakoś to będzie — zaczekamy! Ale — ale — kobiety to nieszczęście co z niemi robić? — Gotowe toczyć rewolucję, że chłopci gdzie się włóczą lub przesiedlają. Wartoby ich się czepić, w gazetce pochwalić, ażeby im to w pięty poszło. Może i kto potrafi — ale żeby skutkowało. Lecz czy one będą czytać — więc niech im mężowie przeczytają. Daj Boże, abym na sprawozdanie za rok 1882 więcej spotrzebował papieru i nie narzekał na kobiety, ale ich pochwalił, bo to nieładnie — Gosposie — matki — Polki — a na nich narzekają — fe! Czy chcecie czy nie chcecie musicie się poprawić, aby nam wstyd nie robić.

Zubrzya w styczniu 1882.

Antoni Maślanka, przewodniczący.

Kółko w Zubrzy należy do najlepiej działających. Najliczniejszym jest natomiast kółko w Kopyczynie pod przewodnictwem Antoniego Szarka — liczące 78 członków.

Najlepiej według redakcji rozwija się kółko rolnicze w Zubrzy, wprowadza zresztą pewną rewolucję tylko w dziedzinie kulturalnej. Członkowie zbierają się na czytanie gazety i książek przez gazetę zaleconych, dyskutują na tematy rolnicze, ale zmian żadnych zasadniczych w systemie życia swojej wsi wprowadzić nie pragną i nie czują potrzeby. Sklepik im niepotrzebny z powodu bliskości miasta, narzędzi (czyli maszyn, które Towarzystwo dla swych członków wykupuje po cenach niższych lub na raty) nie potrzebują, chcieliby jedynie mieć buhaja rozplodnika i to zaspokoiłoby tymczasem ich gospodarcze niedostatki. Niestety, sprawozdanie, ani redakcja nie podają z jakiej części wsi rekrutuje się owych 18 członków kółka w Zubrzy. 110-morgowcy, jakie interesy klasowe łączą ich w kółku rolniczym?

3 maja 1882 r. redakcja „Wienca” i „Pszczółki” zwołuje znów zebranie, które określa między innymi podstawy ideologiczne Towarzystwa Kółek Rolniczych.

„Własność ziemska tak większa jak mniejsza — mówi na zebraniu tym prezes Towarzystwa W. Podlewski — coraz więcej usuwa się z rąk dawnych właścicieli, nasze poczciwe średnie mieszczaństwo nie może podnieść głowy tak jakby powinno, aby stanowiąc rdzeń narodu, więc gdzie szukać ratunku dla zagrożonej przeszłości? Naturalnie tylko tam, gdzie wierna i niewzruszona w podstawach swych tradycja, ta wielka zachowawczość u ludu może dać najskuteczniejszą obronę u podstaw narodowych. Tam pod siłami strzechą, pod skromną siermięgą zaniesiony siew poczucia godności osobistej i poznania praw i obowiązków narodowych, jedynie wzmocnić potrafi budowę przyszłości, o miliony zwiększyć kadry prawdziwie kochających ojczyznę obywateli”.

Obecny na zebraniu 3-majowym Karol Miarka potwierdza praktyczność i celowość organizacji kółek rolniczych na podstawie doświadczeń w Westfalii i w W. Ks. Poznańskim.

„Tradycja, ta wielka zachowawczość” ludu rolniczego, na jaką liczy dyrekcja Towarzystwa Kółek Rolniczych, pozwala jej rozpocząć pertraktacje z ziemianami Towarzystwem Galicyjskim Gospodarskim, na czele którego stoi Adam Sapieha. 10 lipca 1882 roku dochodzi do porozumienia i częściowego połączenia Towarzystw chłopskiego i ziemianńskiego zmierzających do jednego celu: podniesienia krajowego rolnictwa. Odtąd Towarzystwo Oświaty i Pracy nazywa się oficjalnie Towarzystwem Kółek Rolniczych i określa statutowo swój cel jako: „Praca nad podniesieniem rolnictwa i domowego przemysłu we wszystkich ich gałęziach, tudzież staranie o unarodowienie ludu”. Prezesem Towarzystwa Kółek Rolniczych został p. Bolesław Augustynowicz, ziemianin, a jednocześnie wiceprezes Towarzystwa Gospodarskiego. To praktyczne połączenie władz obu Towarzystw dawało nadzieję na to, że szlachta galicyjska zaangażuje się czynniej w przodowniczej robotcie wśród chłopów.

Pierwszy zjazd chłopów z Towarzystwa Kółek Rolniczych odbył się w czasie wystawy rolniczej w Przemyślu. Na pokorne prośby chłopów wiecowi przewodniczył ks. Adam Sapieha — prezes Towarzystwa Gospodarskiego.

Taka jest pokrótce historia i kierunek rozwoju organizacji powstałej z inicjatywy gazety ludowej i na tej gazecie się opierającej. Akcja w zasadzie kulturalna zostaje wprężona w służbę gospodarczej, o jasnej dla nas ideologii solidaryzmu społecznego.

Ta organizacyjna, rewolucyjna, jeśli chodzi o funkcje pisma, rola gazety ludowej nie wyczerpuje się na akcji kulturalno-gospodarczej, którą „Czas” z góry potępia, pisząc, że teraz „lada diabeł pisze dla ludu i lud bałamuci”. Pozostaje jeszcze akcja religijna katolicka mająca na celu obok pobożnych cele polityczne oraz w ambicjach pisma leżąca akcja wpływania na czynniki państwowe w myśl własnych idei pisma.

Wprawdzie Sejm i Wydział Krajowy nie doceniają roli wydawnictwa dla ludu, o czym świadczy nędza, z którą galicyjskie piśmiennictwo się boryka. Zgasły naturalną śmiercią w Krakowie „Włóścianin” i „Zagroda”, w Tarnowie „Gwiazda”. Pozostaje obok „Wieńca” i „Pszczółki” tylko „Chata” z „Nowinami”, podczas gdy ruskich pism wychodzi w Gali-

cji 6. Toteż redakcja „Wieńca” i „Pszczółki” koła uparcie w Sejmie i domaga się otoczenia wydawnictw ludowych stałą opieką państwową. Udało się jednak redakcji uzyskać tylko jednorazowe, groszowe subwencje. Nie zważając na to lekceważenie spraw ludowej redakcja gazety znowu po raz pierwszy w historii czuje się instytucją polityczną powołaną do zwracania się do Sejmu z żądaniami w imieniu opinii, którą gazeta reprezentuje.

Tak np. w r. 1881 gazeta wzywa chłopów do gremialnego podpisywania petycji do Rady Państwa w sprawie zadłużonych posiadłości włościańskich, w sprawie cła ochronnego i gminnych kas rezerwowych.

Podobnie gazeta wniosła na Sejm Krajowy w roku następnym 2 wnioski: 1-szy o ustanowieniu wędrownego nauczyciela dorosłych, na razie jednego — p. Michała Konstantynowicza z Królestwa Polskiego, który wynalazł metodę uczenia dorosłych przy pomocy ruchomego alfabetu i w krótkim czasie osiągnął w paru wsiach zadawalające rezultaty nauki.

2-gi — o ustanowieniu podobnych wędrownych nauczycieli gospodarstwa.

Wnioski te poprzedzone zostały odpowiednią agitacją w piśmie. Sejm przychylił się do pierwszego żądania, ustanawiając pensję dla p. Konstantynowicza, oraz ustanowił na próbie

jednego na razie nauczyciela gospodarstwa dla chłopów w okolicach Dublin i Lwowa — w osobie p. Wł. Grodzkiego — nauczyciela szkoły parobków w Dublinach. Miał on zrzeczą tylko w czasie wolnym od zajęć w szkole parobczańskiej wędrować i udzielać chłopom porad gospodarskich.

W akcji religijnej leżało organizowanie zbiórki pieniędzy wśród chłopów na Świętopietrze, „na Ojca Św.”, który w ucisku i ubóstwie pozostaje, oraz organizowanie pielgrzymek pobożnych. Na taką pielgrzymkę ścignięto chłopów do Krakowa do grobu św. Stanisława — była to pielgrzymka „narodowa” — połączona ze zwiedzaniem pamiątek historycznych Krakowa, grobów królewskich itd. Pewien chłop, Antoni Chmura — dzieląc się w piśmie wrażeniami z pielgrzymki nie znajdował słów uwielbienia i podzięk dla braci Potockich, którzy zapytani o coś w katedrze uprzejmie odpowiedzieli i oprowadzili grupę chłopów po Wawelu.

Prawdziwą jednak pielgrzymką na wielką skalę była pielgrzymka do Rzymu zorganizowana w r. 1881. W specjalnym numerze dla pielgrzymów w artykule „Do Rzymu!” — redakcja wyjaśnia polityczne znaczenie pielgrzymki. Jest ona manifestacją „przeciw strupieszale Rosji”, gdyż wykazywać ma możliwość słowiańskiej jedności i poza Rosją.

Redakcja chlubi się nawet, że pielgrzymka chłopów polskich z Galicji wywołała zaniepokojenie w piśmiach rosyjskich, które wyrażają obawy, że Austria zamierza połączyć niektóre narody słowiańskie pod berłem Habsburgów.

O tej pielgrzymce, która dostarczyła piśmie materiału wspomnień i wrażeń na długi czas — myśli zapewne w jednym ze swoich listów do Jeża z dn. 20.X. 1881 r. Orzeszkowa. Skarżąc się na artykuł Sienkiewicza w „Gazecie Polskiej” o „Zarysie” Chmielowskiego pisze ona: „Fałsze, wedle mnie, są ogromne. Jaki? Konserwatywne i postępowe stronnictwa u nas nie różnią się w środkach, za pomocą których pragną naród wieść do wspólnego zapewne celu! Jaki? Srdkiem do podtrzymania i wzmocnienia narodowego życia, moim lub np. Świętochowskiego ma być całowanie papieskiego pantofla i prowadzenie do Rzymu gromadki ciemnych chłopów, aby do chat swych wrócili głupszymi jeszcze, niż byli wyjeżdżając!”

Takiej to oceny pod piórem postępowej piśmiki pozytywizmu doczekało się galicyjskie organizowanie kultury przez najbardziej wpływową, najaktywniejszą gazetę ludową pozytywizmu wiejskiego w Galicji.

Anna Kamińska

Fot. M. Musiał

Ludwik Łakomy

ROZMOWY NA WZDOLE

Jest piękne, letnie przedpołudnie niedzielne, kiedy idę długa, bo trzydziści kilometrów licząca trasa, która z Suchedniowa przez Michnów, Wzdół, Bodzentyn i Słupię Nową wiedzie aż na Łysą Górę. Idę rozmyślając, jak opracować dla „Wsi” zagadnienie bibliotek oraz czytelnictwa na terenach trzech gmin łysogórskich: bodzentyńskiej, nowo-słupieckiej i suchedniowskiej. Pamiętam o tym, że w 1945 roku jedna książka przypadała w Polsce na 24 mieszkańców, a w 1955 przypadać już będzie na dwóch.

Napisać reportaż — nie łatwa to sprawa. Nie można: tu przykładać, tam uprościć. Tu nie fakty są ważne, ale „sprawy, które trzeba załatwić, trudności, które należy pokonać”.

Trzeba przede wszystkim rozległej wiedzy o terenie posiadać w wysokim stopniu zmysł uwagi i spostrzegawczości, bo one są głównymi cnotami reportera. Reporter ma ukazać w przekroju — to „coś”, co jest przemianą, niejako uchwyconym na gorącym uczynku stawianiem się.

Cóż jednak można zauważyć na takim obszarze, jak podnóża Łysogór, jeśli na słowo uwierzymy Żeromskiemu, że tkwi tu niezmiennosc odruchów, kamienny, jak gołobór Łysicy, zachowawczy kształt chłopskiej egzystencji, który, w myśl zdania piewcy Puszczy Jodłowej, wobec gwałtownie dokonujących się przemian społecznych wywołuje jakoby wrażenie nie tylko biologicznego, ale i społecznego konserwatyzmu.

Zrazu we Wzdole nie mogę jakoś dostrzec tego „konserwatyzmu”. Na chybił trafił wchodzi do pierwszej z brzozy zagrody i — jestem oszołomiony. Porządne zabudowania, podwórze wyłożone płytami betonowymi, na którym nawet słomki nie dojrzą.

Wiadomo: podwórze to świadectwo gospodarza; jeśli jednak, gospośiu, lubisz patrzeć w lustro, patrz w swój dom, a zwłaszcza w jego wnętrze.

Na stole, przy którym zasiadłem w oczekiwaniu na mleko, leży rozwarta książka, a obok niej zeszyt, zapisany okrągłym, wyrobionym piśmem kobiecym. Tytuł książki: „Znachor” Mostowicza. Zajrzawszy do zeszytu czytuję: „Sliczna, zachwycająca książka. Jakże bym chciała zostać asystentką takiego „Znachora”.

— To właśnie moja córka czyta tę książkę — mówi gospodyni widząc, że przeglądam „Znachora”. — Nasza jedynaczka. Dla niej książki, to jak chleb. To po szkole rolniczej nabrała takiego zamiłowania do książek.

— Teraz pewnie czeka na męża?

— Ano, jakby się znalazł chłopak niedzielszych zasad, może by się i wydała. Zapamiętaj sobie, czytelniku: „niedzielszych zasad”.

Właściciele zagrody, w której przebywam, posiadają sześć hektarów ziemi. Głównym je-

dnak ich dochodem są wpływy z masła. Wzdół od dawien dawna słynie z wyborowej jakości swych produktów mlecznych.

— Masło wzdolskie — mówi gospodyni — jeszcze przed wojną było znane w Warszawie za jedno z najlepszych. Toteż kiedy następowały roztopy włosenne lub szarugi jesiennie, uniemożliwiające Wzdolowi komunikację ze stacją kolejową w Suchedniowie, warszawskie panie wołały raczej używać margaryny, niż obywać się bez naszego masła.

Gospodyni wyraża się poprawnie, bez naleciałości gwarowych. Śnać dłuższy czas musiała przebywać w mieście.

Z dalszej rozmowy dowiaduję się, że po deszczu droga wzdolska zamienia się w bagno. Północne, podłysogórskie grunta lessowe bardzo nasykają wilgocią, niż rędzina przyszowska.

— Naprawdę przed wojną — ciągnie moja informatorka — gospodarze wzdolscy zabiegali w Kielcach o budowę drogi bitej. Przez osiem miesięcy w roku tonęliśmy w błocie, a województwo nie dbało o to, aby wleś połączyć z koleją, choćby wysypaną kamieniami drogą. Ja co prawda tu nie przebywałam, bo mąż był instruktorem w Grudziądzu przy wojsku. Zresztą gospodarz, który mieszka obok, poinformuje pana dokładnie.

Przez półuchylone drzwi dostrzegam w portret Piłsudskiego.



„Najlepiej podoba mi się książka o Danusi i Jurandzie”



„Jeśli lubisz patrzeć w lustro, patrz w swój dom”

W sionce, na stołeczku, widzę znowu książkę Sienkiewicza „Krzyżacy”.

— A to nasza babcia wieczorami lub przy pasionce czyta tę książkę.

— Ileż ta babcia ma lat?

— O, już dawno skończyła sześćdziesiąt. Idę do „babci”, która doi krowy. Gospodyni podąża za mną dzwigając spore narezcze słodkiego łubinu. Po drodze objaśnia:

— Słodki łubin łącznie z suchą karmą z naszych łysogórskich pastwisk należą do pasz treściwych. Krowa na samej paszy suchej daje mleka niewiele, choć ono będzie gęste. Nam zaś chodzi o to, żeby ono było dobre i w dużej ilości. Osiągamy to za pomocą karmienia krów mieszanekami pasz treściwych, do których należą słodki łubin z karmą suchą.

— Skąd pani to wie? — mimowoli wyrwa mi się pytanie.

— Ano z książek...

Babcia, zapytana o lekturę, ociągając się odpowiada:

— Na pasionce, to se ta cytom różności. Teraz nojlepi mi się podoba książka o Danusi i Jurandzie. A czytałam też o „Matce” (Sewera — przyp. L. Ł.) Piękno książka.

— Ja zaś — rozlega się za mną czysty głos — najbardziej lubię Żeromskiego. Przecież to, co on opisuje na początku „Popiołów”, działo się w naszej wsi za pańszczyzny.

Oglądam się. Widzę dwudziestoparoletnią kobietę w odświętnym wełnianu.

— To właśnie córka tego gospodarza, do którego pana skierowałam.

Idziemy. Kobieta mówi: — To pan z „gazety”? Ciekawy pan, jaką kto najlepiej książkę lubi. Niedawno czytałam „Kordiana i Chama” dziadusiowi, który na własnych plecach odczuł pańszczyznę. To, mówię panu, dziadusiowi jak groch łyż sypały się z oczu, gdy przypominał sobie, co to szlachta dawniej z nami wyrabiała...

Chata, do której wchodzi, znacznie biedniejsza od poprzedniej, chociaż czysta nad podziw, mimo obecności dwojga małych dzieci.

— Tato! tu jakiś pan z gazety do was — objaśnia kobieta uchylając drzwi na przeciw. Wychodzi mężczyzna suchy, zawiedły, o mądrych, skupionych oczach chłopskiego myśliciela. Wygląda, jakby szpakami był karmiony za młodu.

— Co to za przyjemność zapisywać każdą bzdurę? A jeszcze o tych książkach — mówię.

Rozumiem, że idzie mu o to: Jeśli pisać o Wzdole, to już wszystko. Z częściowego zapisywania tylko szkoda może wynikać, bo się oszuka ludzi.

Wobec tego odpowiadam mu:

— Nie, to nie tak; część zapiszę, potem dopełnię szczegółami znanymi mi skądinąd i tak złożę się całość.

— Ha, więc powiem, co mi wiadomo. U nas, we Wzdole, czyta się dużo, bo coż ro-

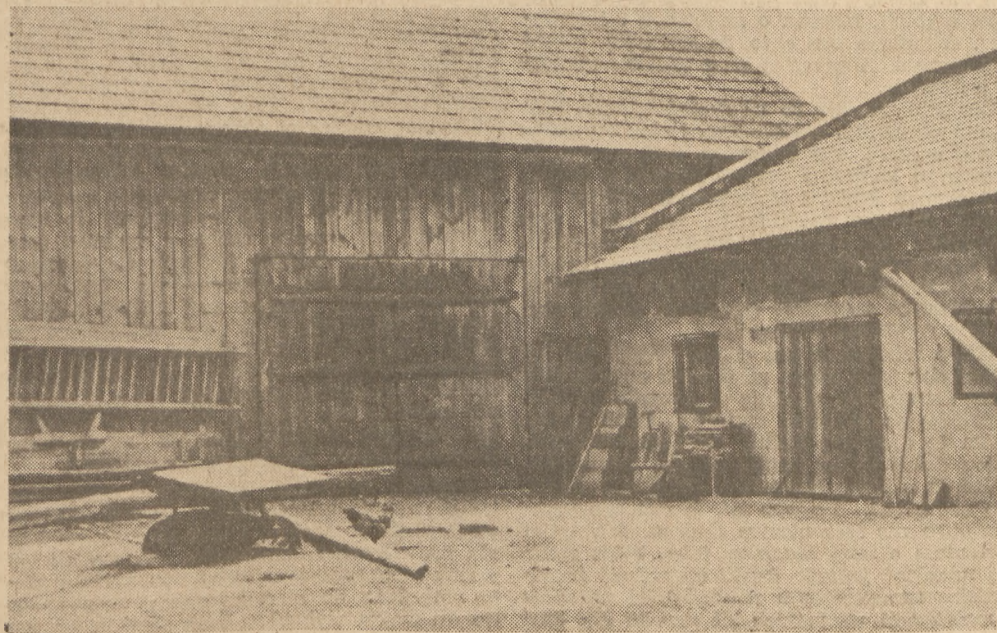
bić w czasie długich wieczorów jesiennych i zimowych? Tylko z książkami jest gorzej, bo nie zawsze są takie, jakie byśmy chcieli czytać. W naszej wsi nie ma analfabetów. Od 1945 roku mieliśmy szkołę, samorządnie przez nas stworzoną i przez gromadę opłacaną. Aż do pierwszej wojny światowej w naszej gminie bodzentyńskiej były szkoły w Bodzentynie, Wzdole, no i carska, w Psarach, do której uczęszczał nasz ziomek, Żeromski. Bardzo wczesnie zdaliśmy sobie sprawę, że „Bez oświaty, głodne chaty”. Wtedy nie było przymusu szkolnego, więc na terenie całej gminy Bodzentyń liczbą analfabetów przekraczała 70 proc. Dopiero my pierwsi założyliśmy Macierz Szkolną, uruchomiliśmy czytelnię, a w 1912 roku zorganizowaliśmy mleczarnię spółdzielczą. W ślad za nią powstała spółdzielnia żywnościowa, potem kółko rolnicze, a nawet kółko gospodyń wiejskich, które przed 1914 rokiem uruchomiło warsztaty tkackie, produkujące samodziały i nasze piękne zapaski świętokrzyskie. Odkąd tylko pamiętam, kierowaliśmy się zasadą, że w nosie dłubać nie pora, a sprawy same nie chodzą, lecz trzeba je prowadzić.

— Ile ziemi, gospodarstw i mieszkańców liczy Wzdół?

— Ogółem jest 1600 hektarów, 500 gospodarstw i około 3 tysięcy mieszkańców, gospodarzących we Wzdolach: Rządowym, Plebańskim, Kolonii i Kapkach. Jesteśmy raczej gromadą małorolnych, lecz dzięki spółdzielczości i oświacie radzimy sobie niezgorzej. Już przed tamtą wojną posiadaliśmy spółdzielczy trier i rozdrabniacz do makuchów dla racjonalnego żywienia krów, bo na gospodarkę mleczną kładło się u nas zawsze największy nacisk. Stale jednak pracę rozwojową hamował nam brak drogi bitej.

— No, już tę drogę wam budują.

— A tak. Departament Zatrudnienia Ministerstwa Pracy ma tu olbrzymią zasługę, umożliwiając nam dostęp do kolei i przez to zbyt naszych produktów. Nadto jest u nas nieco bezrolnych i bezrobotnych, którzy dzięki tej drodze zyskali źródło utrzymania. Sami również nie pozostajemy w tyle ofiarowując 11 tysięcy dniówek udziału w świadczeniach szarwarkowych na drogę powiatową, w tym głównie na drogę Suchedniów — Bodzentyn — Stupia Nowa, trasę, która przebiega przez naszą wieś. A widzieliście już naszą szkołę? Jeszcze niezupełnie wykończona. Chłuba to nasza, źródło, skąd wypływają wszelkie imprezy kulturalne i gdzie się koncentruje ruch czytelniczy. Kościół tak samo wspinał. Zbudowała go rodzina górników włojskich Serwallich jeszcze w 1887 roku. Mieliśmy też proboszcza-ludowca, księdza Drygasa. Zmarł na udar serca w ubiegłym roku, a był taki, że co wziął, to z nawiązką rozdał. Pono Kuria Biskupia niechętnym



„Podwórze to świadectwo gospodarza”

okiem nań patrzyła. Bo jakże! Naszych gwardzistów ludowych błogosławiła, w zwinność ich zaopatrywała, leczyl tak, że najlepszego doktora w kółko róg mógł zapędzić i stale powtarzała: „skończyli się i już nie powrócą pańskie czasy”.

— Osobliwy jakiś ksiądz.

— A pewnie! Zawsze mówił: „Chrystus był pierwszym komunistą” — to też cały Wzdół po nim płacze. Do roboty to się tak brał, że aż młó. I ciesznił się, że mu była nie obca i w murarce niejednemu majstra zakasował, cegielnię nam tu i betoniarnię organizował, bo, powiadał: „Lasy się skończyły, zostały po Niemcach same młodniaki, to trzeba przejść na budulec ceramiczny: na dachówki, cegły i beton”.

— Wspomnieliście o Stronnictwie Ludowym. Czy peesolowców u was nie ma?

— Jeden rozum dobrze, a dwa gorzej, to i jedną partię chłopską tylko mamy. Ksiądz Drygas zawsze powtarzał: „W jedności chłopsów siła, a te Mikołajczyki nie myślą dla nas

dobrze, nie”, więc posłuchaliśmy jego rady, podobnie jak w 1942 roku, kiedy to Narbut Gwardię Ludową organizował. Przecież w naszym wsi powstał pierwszy w Łysogórach oddział Gwardii Ludowej. Nie było chłopaka, żeby do niego nie należał. A iluż to nasza wieś przechowała Żydów! Takich Hermanów, chłopów jak dęby, ksiądz nakazał żywić i chronić, bo, powiadał: „Żyd tak samo brat, a Niemcy to głupi naród. Za płytko lubią pływać, no i złodzieje. Wcale nie umieją gospodarzyć, bo przyzwyczaili się tylko obdzierać innych jak bandyci, z tego żyją i myślą, że z taką, Boże odpuść, kulturą, zawojują cały świat”. Ksiądz Drygas był chyba jedynym z proboszczów, który nie odczytał listu pasterskiego biskupa kieleckiego o nieudzieleniu pomocy partyzantom.

— A cóż z „Samopomocą Chłopską”?

— Ho-ho, mamy aż dwustu członków! Prezesuje nam chłop młody, koło trzydziestki, który ciąglem powtarza, że żyć po staremu niesposób i takie trwonienie sił ludzkich

i pracy, jakie jest związane z drobnym poszczególnym gospodarstwem chłopskim, nie może trwać w dalszym ciągu.

— No to jakże będzie? Chyba stworzycie większą spółdzielnię produkcyjną?

— Kto wie, może i stworzymy. Już powiedziałem: sprawy same nie chodzą, trzeba je prowadzić. A z naszym chłopem — nielato. Trzeba doń podejść z mądrym słowem, otwartą głową, dużą wiedzą, umiejętnością rozumienia wszystkiego na raz i tłumaczenia każdemu, co potrzeba. Trzeba tak podejść, jak z tym kółkiem myśliwskim, cośmy je tu bodajże przed dwudziestu laty zorganizowali.

— No-no, to i kółko myśliwskie macie;

— Jużci. Nazywa się: Kółko Myśliwskie „Łysica” we Wzdole. Liczy 40 członków. Jego celem — ochrona zwierzątostanu i w ogóle przyrody. Ale o tym, jak powstało i działało, można by napisać całą powieść.

— Kiedy już mowa o powieści, powiedzcie mi, jakich utworów literackich potrzeba dla wsi?

— Ja ta nie pisarz, ale myślę, że trzeba książek prostych, zrozumiałych, silnych i współczesnych. A przede wszystkim trzeba pisać dla teatrów ludowych, bo na tym polu — prawdziwa posucha. Ja osobiście lubię powieści Kowalskiego i Rudnickiego.

— Jestem ciekawy waszego sądu o „Starym i Nowym”.

— Podoba mi się opis jego Sulejowa. Ten Sulejów, to coś takiego, jak nasz Bodzentyn. Uważa się za lepszego od wsi, a w gruncie rzeczy... Eh, lepiej sami tam pojedźcie i zobaczcie. Warto. Ja zaś zamierzam, żeby ciszej było. Już i tak gadają, że — pyskają.

— Ano, kiedy tak, to pójść do Bodzentyna. Na zakończenie powiedzcie mi, czy myślicie kiedy nad określeniem zalet, które winien posiadać dobry obywatel?

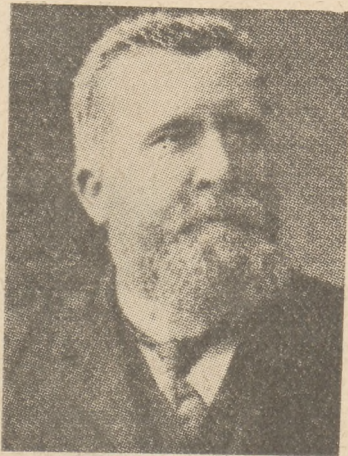
— Co ta nad tym filozofować! Mnie się wydaje, że mało być dobrym, lojalnym obywatelem. Trzeba się stać uświadomionym. A uświadomienia gdzie szukać, jeśli nie w książce?

Ludwik Łukomy

Zofia Rzeplińska

JEAN JAURÈS

(W 35-tą rocznicę śmierci wielkiego bojownika o pokój)



Jean Jaurès

Dnia 31 lipca 1914 r., w kawiarni Croissant, obok redakcji dziennika „L'Humanité”, został zamordowany znakomity przywódca socjalistów francuskich, Jean Jaurès. Straż padł przez okno w momencie, kiedy wysiadał trybun ludu francuskiego, pochłonięty układaniem planów kampanii dla uratowania pokoju, nie mógł zauważyć uchylenia firanki i wsuwającej się ręki. Walka przeciwko wojnie była treścią życia Jaurèsa i stała się przyczyną jego śmierci. Spiskowcy wielkiego kapitału nie mogli ścierpieć namiętnego propagatora idei pokoju w przeddzień wielkiej rozgrywki, dającej szanse nowych zwycięstw — wysiali więc przecw niemu nawpół obłąkanego degenerata — mordercę, Paula Villaina. „Zamorduj pana” — powiedział mu bezpośrednio przedtem Albert Ferry, podsekretarz stanu, przed którym na czele delegacji socjalistów rzucił namiętne argumenty na rzecz walki o pokój. Ferry przysłuchiwał się wywodom Jaurèsa z głębokim podziwem dla jego intelektu i ducha, kiedy jednak usłyszał zapowiedź kampanii przeciwko wojnie, powiedział: „Nie ośmielisz się pan tego uczynić, zamorduj pana na pierwszym rogu ulicy” i dodał: „wszystko już skończone”.

Ani wzgląd na własne życie, ani świadomość przegranej sprawy nie wpłynęły na stanowisko Jaurèsa. Twierdził przecież, że „odwaga — to znaczy rozumieć własne życie, określić je, pogłębić i związać z życiem ogółu”. Dnia 31 lipca życie miało dla niego wartość o tyle, o ile mógł jeszcze zapobiec zbliżającej się katastrofie. Prosto z parlamentu miał udać się do redakcji, żeby pisać artykuł o „Odpowiedzialności Europy”. Nie przyszło mu na myśl, aby potraktować na serio przestrożę Ferry'ego, aby zwrócić uwagę na własne bezpieczeństwo. Nie chciał przewidzieć, że z tyłu czai się już morderca, wysłany przez tych, którzy jak ognia lekali się, że dzięki pokojowej propagandzie Jaurèsa wymknie się im z rąk nie byle jaka, od lat przygotowywana grafka wielkiej wojny.

Zabójstwo Jaurèsa było makabrycznym zakończeniem swoistego rodzaju wysięgu. Z jednej strony stawały do współzawodnictwa zwarte falangi reakcji francuskiej, kapitał bankowy, właściciele kopalni i żelaza, fabrykanci armat i amunicji, z drugiej wielki socjalista, bojownik o pokój i prawa klasy robotniczej.

Wysięg trwał. W ostatnich dniach lipca 1914 r. świat wielkimi krokami szedł ku wojnie. 27-go mobilizacja w Serbii, 28-go Austria wypowiedziała Serbii wojnę; angielski minister spraw zagranicznych Sir Edward Grey proponuje zwołanie konferencji dla pośrednictwa. a 29-go lipca Rosja koncentruje armie u granicy austriackiej. Ale tego samego dnia na wiecu w Brukseli Jaurès woła: „My socjaliści francuscy domagamy się od rządu naszego, aby z całą siłą żądał od Rosji wstrzymania się od czynnej roli. Gdyby na nieść szczęście nie spełniła tego żądania, mamy obowiązek oświadczyć: „Znamy jeden tylko traktat: ten który nas wiąże z ludzkością!”.

A przedtem jeszcze, 25-go lipca, na łamach „L'Humanité” ukazuje się jego artykuł o ultimatum austriackim. „Nota ministrów austriackich — stwierdza — jest przeraźliwie twarda, obliczona na to, aby poniżyć naród serbski lub na to, aby go rozdeptać. Być może nota ta pisana jest z zamiarem, aby wojnę uczynić nieuniknioną”.

Tego wieczora mówi pod Lionem raz jeszcze o odpowiedzialności Europy. Mówi o chytrej dyplomacji niemieckiej i rosyjskiej, o

polityce kolonialnej Francji, o brutalnej woli Austrii, o tych czynnikach, które według niego ściągają pożar na ziemię. Jaurès jest idealistą. Sądzi, że dość będzie wykazać rządowi nikczemność ich polityki, aby wywołać skruchę i zmianę w ich działaniu. 29-lipca przyjeżdża prosto z kongresu brukselskiego do Paryża i biegnie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdzie wraz z towarzyszami żąda natychmiastowej audiencji. Otrzymuje solenne zapewnienie, że Francja niczego tak bardzo nie pragnie jak pokoju i czyni wszystko, aby pokój zachować. Nie dowiedział się jednak o tym, o czym ambasador francuski Paleolog zapewniał codziennie rząd rosyjski: „Rząd francuski zdecydowany jest całkowicie działać łącznie z rządem rosyjskim”. „Rząd rosyjski może całkowicie liczyć na sojusznika swego, Francję...”.

Jaurès otrzymuje natomiast niezbyt do wód pokojowych zamiarów Francji, a mianowicie wiadomość, że patroly graniczne otrzymały rozkaz cofnięcia się dziesięć kilometrów w głąb kraju. O trzeciej zaś nad ranem Rada Ministrów zastanawiała się nad mobilizacją wobec depezy, jaka nadeszła do ambasadora niemieckiego, komunikującej, że Niemcy zachęcają do Rosji wytłumaczenia, co znaczą ruchy jej wojsk na granicy austriackiej. Jaurès łudzi się jeszcze. „Jeszcze nie wszystko stracone”. „Jeszcze nie wszyscy potracili głowy”. Wieczorem pisze artykuł wstępny do „L'Humanité”, pełen optymistycznych tonów. Wciąż powraca do projektów pośrednictwa. Nie wiedział nic jeszcze o postanowionej mobilizacji niemieckiej. Wybierał się z listami i depeżami do Anglii i do Wilsona. Skarżył się na mężów stanu, „tak lekkomyślnych, że uważają wojnę za fakt dokonany”. 31-go lipca wzburzony i rozgorączkowany walczy w parlamencie, zwołuje

Jean Jaurès

Z „PISM POLITYCZNYCH”

Wyjętek z artykułu „O ojczyźnie”

C o mają na myśli ci, którzy twierdzą, że rewolucja socjalna i międzynarodowa odrzuca pojęcie ojczyzny? Czy według nich przeobrażenie społeczeństwa powinno dokonać się z zewnątrz, przy pomocy sił obcych? Takie twierdzenie byłoby zaprzeczeniem idei socjalistycznej, według której nowe społeczeństwo może powstać dopiero wtedy, gdy wszystkie jego elementy zostaną odpowiednio przygotowane przez społeczeństwo poprzednie. Wówczas dopiero powszechny międzynarodowy czyn rewolucyjny nosić będzie na sobie wszelkie znamiona narodowej rzeczywistości. W każdym kraju będzie on musiał zwalczać odrębne trudności i w walce tej będzie mógł posługiwać się środkami odpowiednimi dla danego kraju, jak np. historią narodową, tradycjami narodowymi itp. Miał już okres, kiedy utopiści uważali komunizm za jakąś sztucznie wyhodowaną roślinę, która może kwitnąć, kiedy się chce, i w takim klimacie, jaki wybierze dla niej przywódca jakiejś sekty. Nie ma już Ikarii. Socjalizm nie jest już odwany od życia, ani od narodu. Nie odrzuca on ojczyzny, lecz posługuje się nią, aby ją przeobrazić i rozszerzyć. Internacjonalizm abstrakcyjny, anarchizujący, lekceważący sobie warunki walki, czynu i ewolucji poszczególnych grup narodowych nie byłby niczym innym, jak tylko drugą Ikarią, jeszcze bardziej przestarzałą i nierealną niż ta pierwsza.

Odrzuć ojczyznę i jej prawa można tylko w następujących wypadkach:

1) Jeżeli się przekształca poszczególne grupy narodowe w małe grupowania niepowiązane ze sobą niczym, pozbawione całkowicie idei jednoci. Takie rozwiązanie jest jednak nlewykonalne i żaden rewolucjonista nie bierze go pod uwagę, gdyż nawet ci, którzy pragną zastąpić państwo scentralizowane federacją kcmun lub grup zawodowych, nie odrzucają ojczyzny, lecz tylko ją przeobrażają. Taki Proudhon np. był zagorzałym patriotą francuskim i usiłował nawet zapobiec powstawaniu grup narodowych sąsiadujących z jego krajem.

2) Jeżeli się realizuje ideę jednoci ogólnoludzkiej przez podporządkowanie wszystkich krajów jednemu. Byłoby to jednak potworny imperializm, o którym umyśle nowoczesne nie mają prawa nawet myśleć. Jedności całej

nieustannie zebrania posłów socjalistycznych, zacepia ministrów, usiłując przekonać każdego po kolei: „Trzeba mocno przemówić do Rosji, Rosja musi przyjąć pośrednictwo Anglii. W przeciwnym razie Francja oświadczy, że nie pójdzie z Rosją, że zostanie z Anglią”. Nie wiedział, że rząd czeka tylko na wiadomość o mobilizacji niemieckiej, aby zarządzić francuską. Nie wiedział lub nie chciał wiedzieć, że kości już zostały rzucone. W każdym razie nie mógł się z tym pogodzić. Jeszcze raz udał się z przyjaciółmi do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Chciał wykorzystać każdą najmniejszą bodaj szansę. Nie chciał wierzyć, że ostatnia już minęła.

Wieczorem o dziesiątej już nie żył. Wyścig został zakończony wygraną tych, którym działalność Jaurèsa krzyżowała plany. Wielcy potentaci finansowi, przemysłowcy i bankierzy, nie chcieli mieć przeszkód na swej drodze do kataklizmu, mającego pomnożyć ich kapitały. Wielka burżuazja niepoohamowana jest w swej ekspansji i uderza nie tylko w swych bezkompromisowych i nieprzejednanych wrogów — tepli każdego, kto mógłby jej ekspansję osłabić. Jeden Jaurès nie był przecież konsekwentnym wyznawcą rewolucji, zmierzającej do przewrotu. Wprawdzie o „ludzach, którzy posuwają pragnienie pokoju tak daleko, że grożą ruchem rewolucyjnym winowajcom krwawych zatargów” — pisał, że „są najbardziej przemyślnymi sługami ewolucji ludzkiej i postępu społecznego, zorganizowanego, mocnego i rozumnego” — była to jednak tylko rewolucyjna fraza wywołana żarliwym entuzjazmem dla sprawy postępu. Jaurès nie był nigdy wyznawcą rewolucji: ideałem ustroju była dla niego republika; walczył nieubłaganie przeciwko wojnie całej ziemi, ale jak pacyfista, nie jak rewolucjonista. W dziedzinie historiografii usi-

łował dokonać niemożliwego połączenia materialistycznej i idealistycznej koncepcji pojmowania dziejów. Pragnął stworzyć syntezę Marksa i Micheleta. Myśl o zespoleniu tych dwóch przeciwstawnych systemów filozoficznych dawała mu złudzenie jakiegoś pozytywnego novum, w rzeczywistości jednak oznaczała kapitulację przed idealizmem. Socjalizm Jaurèsa nie opierał się na żelaznych przesłankach materializmu historycznego i obiektywnych obserwacjach rozwoju dziejów — wypływał raczej z wewnętrznych potrzeb etycznych niż z konsekwentnie wyrozumowanego światopoglądu. Problem naprawy społecznej rozwiązywał bardziej w sferze uczuć niż w sferze logiki.

Wprawdzie z głęboką żarliwością głosił, że nie ma ideału szlachetniejszego, jak ten, w myśl którego w społeczeństwie pania suwerenna będzie Praca, w którym nie będzie ani wyzysku, ani krzywdy, gdzie wysiłek wszystkich będzie swobodny, skoordynowany, w którym własność społeczna będzie gwarancją i podstawą rozwoju indywidualnego; nie rozumiał jednak konieczności bezwzględnej przebudowy ustroju, aby marzenie o hegemonii pracy wśród innych aktywności społeczeństwa ze sfery gorących pragnień przeszło w sferę rzeczywistości.

Wprawdzie wszem i wobec całemu światu obwieszczał, że „klasą intelektu, prawdziwego intelektu pomimo nieświadomości i niewiedzy jest klasa robotnicza”.

Wprawdzie niewiele mówców tak celnie wyraził dynamizm żywoty tej klasy jak on w słowach: „Proletariat nie jest stadem niewolników nieskończenie zrezygnowanych, ale siłą świadomą, która codziennie się odradza, która co dzień się lepiej organizuje, która codziennie się zresza, w której słabość każdego poszczególnego człowieka, staje się w sumie potęgą wszystkich”. Ale jego oportunistyczna, niemarksistowska taktyka w rzeczywistości rozbijała proletariat wobec burżuazji.

Punktem szczytowym walki Jaurèsa przeciwko siłom reakcyjnym była sprawa Dreyfusa, podczas której objawił się jego wspólny talent oratorski, bezkompromisowość w atakowaniu wroga, wielka odwaga cywilna. Była to jednak tylko walka o sprawiedliwość, walka o cierpiącego niewinnie człowieka, o ideały ogólnoludzkie, wyznawane przez każdego szlachetnego radykała, nie stanowiące żadnego etapu w rewolucji proletariatu. A przecież burżuazja lekkała się Jaurèsa i nieznawidziła go głęboko. Nie było kalumni, którymi by burżuazyjna reakcja nie obrzucała Jaurèsa, byle tylko osłabić jego wpływ w masach społeczeństwa. Tym zawziętsza stawała się kampania przesładowań, im bardziej nieosiągalny stawał się jej cel. Jaurès — jeden z najwybitniejszych działaczy w historii francuskiego ruchu socjalistycznego, natchniony trybun ludu, pomimo idealistycznego charakteru swej filozofii bliski proletariatu, cieszył się dużą popularnością wśród ludu Francji i ogromną sympatią wśród rzesz robotniczych. Do dziś dnia pomniki jego otaczane są szacunkiem. Kiedy w 1942 r. rząd Vichy chciał usunąć pomnik Jaurèsa w Carmaux, górniczy zorganizowali całonocną straż, oświadczając prefektowi: „Jeżeli ruszycie nasz pomnik, wylecą w powietrze wszystkie szyby w kopalniach”. Pomnik pozostał nietknięty. Jaurès, jako jeden z najaktywniejszych działaczy Drugiej Międzynarodówki, brał udział we wszystkich kongresach i zjazdach w Hadze, Amsterdamie i Bazylei, był duszą strajków i manifestacji robotniczych, założyciel „L'Humanité” i jako znakomity orator, publicysta i polityk bronił interesów klasy robotniczej w parlamencie, na łamach prasy, z trybuny oratorskiej. Jako świeży historyk demaskował w swych dziełach antagonizmy interesów ekonomicznych, ukryte pod maską antagonizmów ideowych, a w swej znakomitej historii Rewolucji Francuskiej, pełnej „oświeślenia socjalno-ekonomiczne tło i powiązania mechanizmu dziejów. Z tego to inicjatywy powstała Komisja Badania Dokumentów Ekonomicznych Rewolucji Francuskiej.

Pomimo idealizmu, pomimo licznych niekonsekwencji politycznych, Jaurès odegrał wielką rolę postępową i tego właśnie nie mogła mu darować burżuazja. W przeddzień wojny kampania oszczerstw i kalumni została rozpetana do niesamowitych rozmiarów. Zanim wojna wybuchła, kulą skrytobójczą został zgładzony ten, który najzacieklej bronił swojej ojczyzny i całej Europy przed wojną.

Marianna Kościńska

Pod płóciennym kapeluszem

Ksiądz dyrektor wycierał cwikier w żółtą jak jajecznicę irchę. Wypolerowany założył na nos, spojrzął na klasę i obwieścił na wesoło ważną nowinę:

— Dostałem jeden bilet dodatkowy darmowy — flegmatycznym ruchem odjął cwikier, jeszcze raz wytarł troskliwie, założył z powrotem i kierując zadowolony wzrok ku przedostatniej ławce dokończył: — Bilet przeznaczę dla Wikty Kaciały. Pojedzie z nami na wycieczkę.

— A-a-a! — przeszło zdumieniem po ławkach.

Wikta rozsuwała pod ławką płsy układanki, jakby grała na harmonijce. Zawsze już tak było u niej, że gdy okazywano jej dobroć, umysł jej tracił ruchliwość. W takiej sytuacji nie stać jej było na szczera, wesołą reakcję. Łzy dusiły ją w gardle, paraliżowały głos, uciekając gdzieś do środka. Do oparcia ławki przyciskała rękami dobroć księdza. Kiedy zaczęła się lekcja, nie mogła skoncentrować na jego słowach rozlatujących się myślami. Mówił teraz przycichłym, przejętym głosem o męce Pana Jezusa. A Wikta wpatrywała się uporczywie w rozmazane litery na tablicy. „Brut-to net-to — czytała mechanicznie. Po chwili przeniosła pochliwy wzrok ku katedrze i z nieogarnionym oddaniem przyjrzała się smutno zwieszanej głowie księdza: miał zaczerwienione oczy w których wiliły się łzy i nieposkuszone spłynęły na policzki. Odjął cwikier z przegubu nosa i chwilę trzymał w dwu palcach. Wyjął irchę z kieszeni, schował, założył cwikier na oczy, następnie ściągnął i polerował szkła. Wypolerowane założył na nos, odchrząknął i mówił dalej: „Gdy Pan Jezus szedł na górę, dzwigając na ramionach krzyż, obok niego szły niewiasty i płakały. Wtedy Pan Jezus zwrócił się do nich i powiedział: „Nie płaczcie nade mną, tylko same nad sobą”. W tym momencie zajął mu się głos, raptownym ruchem oparł łokcie na stole, zasłonił rękami twarz i zakał. Wikta usłyszała sapanie sąsiadującej koleżanki. Spojrzała na nią, dostrzegła, że także płacze. Rozglądając się po klasie: wszystkie koleżanki miały spuszczone głowy. Spuściła głowę także i ona. W uszach dźwięczały jej uparcie ostatnie słowa księdza: „Nie płaczcie nade mną, tylko same nad sobą”. I nagle myśl jak błyskawica poruszyła ją: „Co by tak Pan Jezus powiedział, gdyby teraz przyszedł do klasy i zobaczył, że wszystkie nad nim pła-

czemy?” Spojrzała ku katedrze: przyłożone do twarzy ręce księdza trzęsły się jak w febrze. Krtań Wikty ułapił szloch. Ale nie przez mękę Pana Jezusa. Rozgniewała ją nagle męka Pana Jezusa. „Tak dawno ta męka była i tyle się już o niej nasłuchiłam — pomyślała ze złością. — A teraz ksiądz przez męki cierpi — bo płacze”. Zbuntowana wypędziła gniewem wzruszenie i przyłgnęła do oparcia ławki jak kupa gliny do opon wózka.

Z dzwonkiem zagładnęło słonko do klasy przez okratowane, klasztorne szyby. Religia była ostatnią godziną. Uczennice pakowały książki, hałasując. Wikta pakowała książki leniwie. Unikała zaczerwienionych oczu księdza. Wdzięczność za darmowy bilet odebrała jej do reszty pewność siebie. Chciała jakimś sposobem podziękować za wyróżnienie. Całowania po rękach nie znośli. Uprawiane przez koleżanki cmokanie z byle powodu wydawało się jej także marne i liche, ale nie pozostało jej nic innego do wyboru. Koleżanki nawoływały do drogi:

— Chodźże już!

— Już idę — odpowiedziała.

— Cóż taka osowiała? — dopytywały się.

— Przecież jedziesz na „Wianki”.

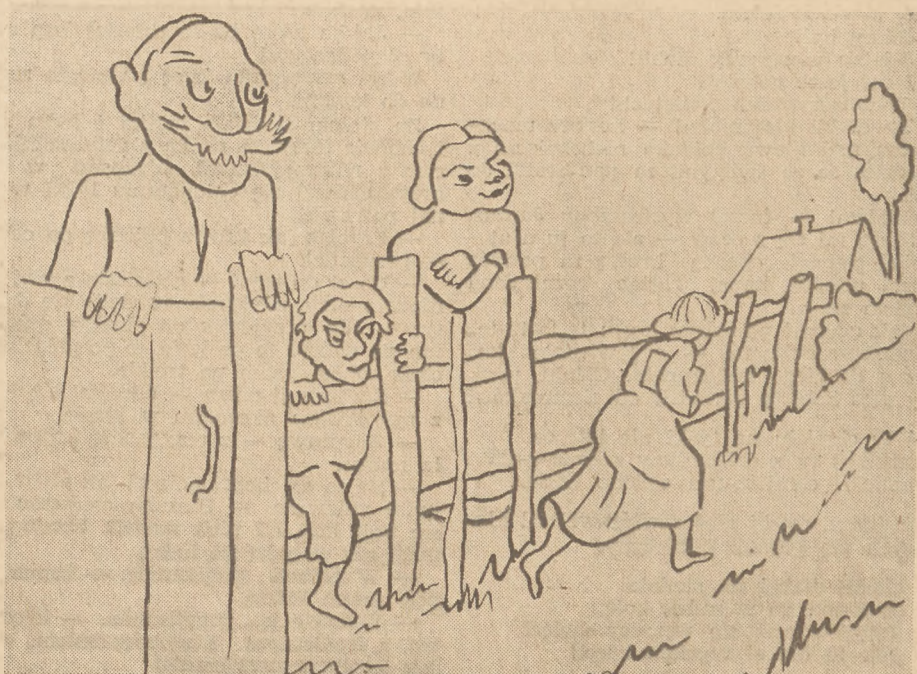
— Wcale mi na tym nie zależy — bąknęła.

Dziewczeta wlepiły w nią pełne zdumienia, zgorzone oczy:

— Jakaś niewdzięczna...

Na twarz Wikty wypłynęły rumieńce. Wstydziała się przyznać do koleżanek, że jej zależy przede wszystkim na tym, żeby ksiądz nie cierpiał przez mękę Pana Jezusa. Nie pisała ani słówkiem, że ją męka tak rozgniewała. Zabrała książki i ruszyła z całą gromadą.

Nad gościńcem szło słonko rozmazane czerwonym otokiem. Ściagało rozklekotane fury prażąc kraciaste chustki kobiet i wyleniałe bluzy furmanów. Zaglądało do okien domków biegnących rzedem po obu stronach gościńca. Wszystkie niziutkie, wrosnięte w ziemię, przytulały się do siebie równo, jak gnidy na twardym włosie komornicy. Wikta bez tchu doszła do sokoła. Pręząc młode, rozwijające się mięśnie poruszała się sprawnie, lekko, harmonijnie: za tydzień jedzie do Krakowa na wycieczkę! Głodny żołądek przypominał jej o przyziemnych potrzebach. Dzisiaj łagodniej niż zwykle pomyślała o zniechęcającej potrawie — brajce. Przeprosiła się nawet z brajką: w szczęściu tak łatwo przebaczać! Zje całą miskę bryi —



rys. B. U.

byle dużo i gęste! Wsunęła głębiej pod pachę książki, poprawiła szkolny, płócienny kapelusik i uśmiechnęła się sama do siebie.

Zbliżała się do ogrodzenia Bardelki. Słoneczniki z daleka wystawiały ciekawie żółte oczy. Szeroki gościńiec rozwidlał się w tym miejscu na drogę prowadzącą w górę i w las. Wikta zwolniła kroku, spojrzała w okna domu Bardelki i dostrzegła, że poruszyły się firanki. Przejęta niepokojem cofnęła się ku sąsiedniej bramie. Z okien domków naprzeciwko wystawiali już ludzie głowy zwabiani codzienną frajdą. Z napięciem wyczekiwali obecnego przebiegu. Przybrawszy pozę niefrasobliwej swobody, Wikta przyłożyła rękę do czoła i wpatrywała się z uwagą w las, jakby ją nic poza tym, co się dzieje pod lasem, nie obchodziło.

Od podgórszkiej strony ciągnął się sznur rek dziewczyn. Przepasane na krzyż płachtami dokazywały jak to zwyczajnie w lesie. „Hu, ha!” pohukiwały. Wikta poznała po głosie nieustraszoną grubą Andę, wytrawną „cetyntarkę” mylącą trop gajowego niczym

gangster trop detektywa. Pokrzykiwała buńczucznie:

Nie boje się leśnego!
Wypnę zadek na niego!

Ułomna Mańka pięła się na kabiakowatych nogach w których zmieszczyły się szprychy sieczkarnianego koła, wyprzedziła orszak i odkrzyknęła z przekomarzaniem:

Jak cię złapie leśniczy
To ci zadek odcwicy!

Zachęcona odwagą podgórzanek, Wikta zerknęła ponownie w okna Bardelki: firanki wisiały nieruchomo. Niejasna nadzieja, że może przedźle spokojnie pchnęła ją naprzód. Jak złodziej przekradała się pod płotem. Nagle chlunęły wyzwicka:

— Chamciuk kapeluszuwa pannę strugał Dziadówo — przetał na głowę! Ubierz uryno! Tylko w urynole będzie chamowi pasowało! Uryno! Uryno! Uryno! — po całej ulicy mlosły się uragliwie chichoty Bardelnek, zmieszane z obelżywym rechotem Bardelki, przeplatany dalszym stekiem słów: — Górolica spuchła z jałowej branki! Twoja matka w krypcach przywlokła się do miasta! Ojciec w górniczy i czerwonej tasemce przy koszu! Górolicho — wybluj żetyce! Schowaj kapeluszu — wżuj kurpieliska!

Jak zezszcuty, skopany psiak Wikta wtuliła głowę w ramiona i zamiast przyspieszyć zwolniła kroku. Stapała ciężko, niezgrabnie, stawiając nogi z wysoka jakby omijała miedzowe słupki schowane w trawie. Spoglądając wylekłyimi oczyma na przysłuchujących się wyzwickom ludzi, dostrzegła w rzucanych na siebie spojrzaniach pełne zadowolenia współczucie, bezlitosną litość, wzgardę i nawet bezczelną radość. Błyskawicznym ruchem ściągnęła z głowy biały, płócienny kapelusik i schowała go pod pachę pod książki. Nagle puściła się pędem i skreśliła z gościńca w pola. Błęgnąc przez wąską miedzę pomiędzy kołyszającymi się łanami zbóż dała nieprzytomnie zielone kłosa. Zsuwane z siłą z łodyg tryskały mleczem i wałały ręce. Nieprzytomnie rzuciła się w falujący białawym odcieniem owies. Jakby ujrzała nieprzebytej mur stanęła pośrodku zbóż, patrząc surowym, skupionym wzrokiem na powalane ręce. Zmęczona upadła w miedzę.

— Za co? za co? za co? — szeptała dysząc ciężko.

Podświadomie wyczuwała, że ta nienawiść do niej wypływa z antagonizmów klasowych. Lecz tylko podświadomie, bo jej świadomość wychowanki klasztornej zakładu była bardzo uboga. Świadomie wiedziała tyle, że ścierała na siebie złość ludzką szkolnym, płóciennym kapeluszem. Rozgniewana nasadziła kapeluszu mocno na uszy — wszystkim na złość. I mechanicznie zaczęła zrywać puszyste kwiatki jaskrów, odgryzała kielichy, z giętkich łodyżek sporządzała koluszką łącząc je w łańcuch. Nie domyślała się nieboga, że zawiązała nie kapeluszem. Że pod kapeluszem ukryte są jej prawa do pełnych praw człowieka, za które ścierała na siebie wrogów. Jako córka chłopskiego wyrobnika nie miała prawa aspirować do takich praw. Tymczasem wbrew swojej woli posiadała inteligentny, o miejskim wraźniu wygląd, zdolności, pęd do dalszego kształcenia się. Za te walory popadała w niełaszkę. Wikta czuła świadomie tylko jedno: gdyby się ludzie nie bał odpowiedzialności przed sądem, ukamienowałby ją za kapeluszu. Nie rozumiała jeszcze, że ze swej pozycji społecznej powinna być niedojdą, pomiotem, na którym by się każdy mógł utknąć w należytej jej sposób: kopniakiem lub pobłażliwą drwiną. Nie pojmowała despotyzmu stosunków społecznych.

Za stodołą poruszali się w słoncu ludzie. Oselka wydzwaniła po kosie: sze-sze-sze-sze. Miętko padały lilowe głowy koniczyn. Miedzą prowadził krowę niedochady Jan-tus-jakała. Kosa podniosła się w górę pod

Tadeusz Różewicz

WYZNANIE

Zamiast tylu głów
chciałem im przyprawić jedną
piękną jak kościelna wieża

Chciałem dać
jedno oblicze
szarej masie
która
świeci pod ulewą potu

Szedłem pisałem
aby zaludnić
białe miejsca na mapie
wyobraźni. I tu zderzyłem się
z żywymi ludźmi
z ich oczu czasem płynęły łzy
a w piersiach
zaciskało się i rozwierało serce
tylko głowa była niema
i naga jak młot
nie znaleźliśmy wspólnego języka

Teraz uczę się mówić
od początku
Stąd upadki i błędy
stąd sztuczne śmieszne gesty
które nazwane są
przez niecierpliwych
wierszami.
1949 r.

POETOM DWUDZIESTOLECIA

Nie ma kraju poetów
nigdy go nie było
Ja wiem
mnie życie
w serce uderzyło
Zgrzeszyłem łatwą wiarą
w słowa i marzenia

Trzeba odciąć ręce
waszego strumienia...

1949 r.

Jerzy Miller

GŁOS

Las martwych kobiet, dzieci i mężczyzn
bezbronnych niczego nie przypomina?
zwierząt nie ma

a jeśli są to tylko wychodzące po deszczu
owady o chitonie czerwono-białym
Las bez drzew liści kory pni i koron
od jednej dłoni nawet dziecięcej węższy
Ptaki w nim nie śpiewają Bażanty
nie podbijają się z zarośli Tego
wszystkiego tam brak wyobraźnia nawet
niczego nie stworzy niczego więcej nie powie
Takich lasów jest wiele na wschodzie
One nie mają nazwy tylko
liczbą są oznaczone o tyle
uproszczoną że podaną w zaokrągleniu
Dlatego u nas najwięcej boją się wojny
szczególnie w okolicach gdzie lasy takie rosły
choć nie są szersze niż jeden liść bukowy
lasz bez przyszłości bogate w przeszłość przecież
tysięcy godzin najpiękniejszych
tysięcy dni najczarniejszych
Rozpłynęły się jak zdmuchnięte wiatrem mleczce
jeżeli coś znaczą jeszcze to tylko jako potężny
głos do głosów walczących o życie

UPRAWA

Gość to nagły i niespodziewany
ręka, która daje a nie bierze.
I nad nami, gdy wznosimy ściany
słup powietrza wyściełany wyrósł
Są to dumne i wysokie wieże
Perspektywy widziane na wyrost.
Piękno zjawia się w moim ogrodzie.
Raj uprawy obdziela nasze pola.
Raj uprawy, który jest po głodzie
tym dla ludzi czym dla ryb potoki
po bajorach po błotach do kolan
tonem święta ludzkiego wysokim.

słońce, świecąc niebieskim, metalicznym kolorem.

— Jantus, zackej no! — zawołał kosiarz.
— P-p-p-po co? — Jantus przystanął krocząc w miejscu na boki.

— Ponoś ty widział diabła w niebie bez worek?

— A w-w-widzieliem.
— Piękny był?
— J-j-jak w-wszyscy diabli!

— I coś jeszcze widział?
— W-w-wszystkich Świętych!

— Ty diabli ułamniku! — kosiarz machnął kosą nad głową bejdaka niebezpiecznie.
— Bedzies se ze świętymi za pan-brat?! Jo ci tu!

Widzieliem! — fuczał wystraszony Jantus.
— Strać mi się z oców — ale to ju-u-u!
Jantus siepnął oporną krowę za powrót i ruszył między stępa, rżąc roznieśloną woliskiem szyją.

Młotek uderzał po ostrzu kosy: te-te-te-te-te. Sze-sze-sze-sze — odpowiadała kosiarzka z drugiego końca pola, Cienki, przeciągły głos kobiety zawodził od ziemniaków:

Zebyś ty chmielu na tycki nie lo-o-o-oz
Nie robiłbyś ty z dziewczyny niewio-o-ost
Oj chmielu, chmielu-u-u zielone liście...

Energiczny, męski głos zawtórował od kłaniających się główek koniczyny:

Siedzi diabeł na stodole
A słoma go w zadek kole,
Przypatrzcież się wszyscy święci
Jak to diabeł rzyciom kręci!

Wikta podniosła głowę znad zbóż. Zarzuciła łańcuch z jaskrów na szyję i ruszyła między ku Dunajcowi, oganiając się modlitewnym śpiewnikiem przed brzęczącymi natarczami muchami. Niebawem stanęła na wysokim brzegu Dunajca. Szumiał i szedł wilgocią po jej skłonnych do reumatyzmu kościach. Smutno zapatrzyła się w wodę. Fałę rwałe i szybkie były nieustępliwie zamulone, przybrzeżne krzewy. Płynęły jak za-

wziętość na niedole człowieka. Podobne do jatrzących się, nigdy nie zgruntowanych myśli o upodleniu człowieka, przewalały się i kłębiły. Z błogim uczuciem zamoczyła nogi, zmyła ręce, twarz i ruszyła na przełaj ku domowi.

Za stacją grzebała kura sąsiadów w szkodzię, gdakała:
— Jaj-ka niośe bo-so cho-dzę kup mi buty gospodaaaar!

Wikta przepędziła kurę i wbiegła zadyszana do kuchni.

Za stołem siedziała matka i jadła szybko i chciwie żarnową papkę z żeleźniaczka. Ojciec z nieprzyjaznymi błyskami w oczach przysłuchiwał się chlupotaniu łyżki w nędznej potrawie.

— Srybies jak krowa polonkę po ocieleniu — przygadał.

— Co ci do tego! — podniosła z nad żeleźniaczka oczy, następnie zwróciła się do Wikty: — Nie przyjdiesz do chaupy gościńcem, ino sie włóczyś to po lesie, to po polach... Wy-ciros sukienynom po trowie.

— Sprawis ji nową — odezwał się Kaciał z zgrzytliwym akcentem w głosie.

— A sprawę — z rezygnacją odpowiedziała matka.

— Za to że chodzi polami jak zbój? — zapytał gniewnie. — Ukradła co komu. Ludzi się boji kiej od nich stroni? Uczciwy człowiek nie wstydzi się ludzi.

— W polach przyjemnie — zamamrotała pod nosem Wikta.

— Widzicie ja... przyjemnie... — kręcił głowę z ironicznym niedowierzaniem. — Tak jak letnikom przyjemnie!

— Jak letnikom to i mnie — obruszyła się.

— Tak samo odczuwam przyjemność jak i letnicy.

Kaciał szarpnął wąsa zaciskając rząd równych, błyszczących zębów pod powłoką cienkich, ale miękkich warg. Zadumał się. Wikta znała te jego stany. Wpatrzona w ojca dostrzegła, jak kipi w nim nie tyle złość na nią, ile szukający ujścia bunt. Jego wystające kości policzkowe pod smagłą cerą,

gąszcz kruczonych włosów, połyskliwość żywych, bystrych ocz, przypominały jej teraz do złudzenia tatarskiego chana z buławą. Znała na pamięć jego odpowiedź, choć znała jego bunt. Na własną rękę odczuwał swój wrzód wydziedziczonego z praw człowieczych proletariusza. Lecz gdy chodziło o cudzy bunt, szczególnie o przykarcenie buntującej się rodziny, wyłaziło z niego upośledzenie społeczne, niby wąż z wyleniska. Jakby chciał zderzyć zasłonę z własnych oczu i córki i przez to ukazać prawdę, krzyknął:

— Zrozum, że co wolno letnikom to nie tobie! Zrozum, że co letniki to nie ty! Tobie się godzi milceć i pracować! Godzi ci się iść do letników na służbę! A w pola ci się godzi wyjść nie po przyjemność ino po znój! do roboty!

Rozbudzona krzykami zapłakała roczna dziewczynka, dźwigając z kołyski główkę do góry. Matka wzięła dziecko na ręce i usiadła na ławce. Wyjęła wyschniętą, flakowatą pierś, wsadziła do ust dziecka szerniąłą sutkę. Wikta przysiadła się obok matki, milcząca jak po pogrzebie. Zaniechała dyskusji z ojcem, choć cisnęła się jej na usta odpowiedź że przy pracy w polu także może być przyjemnie. Wiedziała, że z nim nie nawojuje. W swoim upośledzeniu odmawiał nie tylko przyjemności, ale wszelkich cech ludzkich jako niższemu gatunkowi człowieka. Teraz chciała koniecznie powiedzieć coś na załagodzenie. Po chwilowej zadumie postanowiła podzielić się własną radością. Onieśmielona jeszcze oznajmiła prawie szeptem:

— Jadę do Krakowa.

— Na służbę? — zainteresował się wszędobylski, o cienkich uszach Antoś.

— Nie na służbę, tylko na wycieczkę — sprostowała z przechwałką.

— Za co? — ożywiła się matka.

— Książd mi da za darmo bilet.

— Lepi zeby ci doł za bilet pieniądze — poddał rzeczową myśl Antoś. — Kupili by mi se zimnioków i jecmienia.

Na twarz Wikty wypłynęły rumieńce oburzenia. Przejęta w kierunku brata fuknęła:

— Nie będę przecież żebrała!

— Nikto ci zebrać nie kazuje! — ojciec zacisnął pięść i uderzył w stół. — Ale na dzieci zarobić tobyć juz mogła!

— Nie moje dzieci! — zbutnowana do żywego pisnęła.

— Nie twoje dzieci?! — milcząca dotychczas matka zerwała się z ławy i zatrząsa dzieckiem nad głową córki ostatkiem siły, płacząc. — Ale łojce twoje, łojce! Takie dziopy jak ty pomagają juz łojcom! Takie podgórzancki to i na cetynę chodzą, na kopcachki, na zarobki — a tu cało zjedź ciężarem! Miej rozum, żeś jest ciężarem łojców!

— Jesce do szkoły chodzi — wtrącił spokojnie ojciec. — Ale jak skończy ten ostatni rok, więcy nie pódzie. Musi se wybić naukę ze ła!

Wikta stanęła przy drzwiczkach blachy blada jak ściana. Przestraszona mówiła z uporem:

— Do Krakowa na wycieczkę pojedę.

— O cem? — zapytała porywczo matka.

— Książd mi da bilet.

— Ale jadła nima na drogę. Co se wezmiesz do jadła?

— Brajki w zeleźnioku! — skręcał się od śmiechu Antoś.

Rozindyczona niecnym żartem wywaliła język i wypadła na pole. Jak na drewnianych nogach powlokła się miedzą ku stodole.

Z góry od lasu wracały podgórzancki. Uginając się pod pękatymi brzemionami cetyny figlowały hałaśliwie. Gruba Anda nuciała przyjemnym, smętlwym głosem:

Słoneczko na zachodzie
Mój miły odprowadź mnie
Odprowadź mnie za las
A ja cię jeszcze raz
I tam się rozejdziemy — — —

Wikta stanęła pod stodołą i patrzyła bezmyślnie w pękate brzemiona cetyny ginące za zakrętem.

Marianna Kościńska

Tadeusz Nowak

MŁODZIEŻ W KRĘGU GMINY

1. NA DRODZE DO ŚWIADOMOŚCI KLASOWEJ

Stawiam sobie takie zadanie — przedstawić życie gospodarcze młodzieży w mojej wiosce i gminie. Pozwólcie, że zacznę opowieść od siebie.

Urodziłem się w biednej rodzinie małorolnego chłopca. Nie miałem lepszego dzieciństwa niż wszystkie inne dzieci biedniackie. Pracowałem przy gospodarstwie zaczęłam bardzo wcześnie, bo gdzieś od 5 roku życia. Musiałem pasać naszą jedyną starą, oblażoną już ze starości krowę, która wodziła mnie przez kilka lat po wszystkich rowach, dołach i wertepach. Łąki nie mieliśmy. Chodziłem w długich, straszliwie połatanych spodniach. Z poszczególnych lat umiała matka odczytać całą historię tych spodni. Ta z czasów dziadka, ta — kiedy je ojciec nosił. W domu było coraz gorzej — przybywało rodzeństwa, natomiast pola nie przybywało. Bieda wciśnięła się we wszystkie kąty domu. Miałem siedem lat, kiedy rodzice oddali mnie do miejscowej szkoły powszechnej. Odtąd miałem pracy znacznie więcej. Oprócz pasania krowy bawienia młodszego rodzeństwa musiałem się uczyć. Radę jakoś dawałem, uczyłem się chętnie i dobrze. Szkoła, słabo wprawdzie prowadzona, rozwijała mój pogląd na świat. Właśnie w tym czasie na szkolnej ławie zacząłem sobie zdawać sprawę z mojego położenia społecznego. Mała wiejska szkółka potrafiła różnicę pomiędzy biednym i bogatym. Nie mogłem jednak zrozumieć, dlaczego dzieci — takie jak ja, chodziły w połatanych, dziesięć razy przesywanych spodniach, kurtkach i butach, podczas gdy inne były ładnie ubrane, jadły bułki z kielbasą na przerwach, a nauczyciel je wyraźnie lepiej traktował. Ustaliłem już wtedy, że rodzice tych dzieci są bogaci, mają więcej ziemi, że nasi rodzice z daleka w pas im się kłaniają, a na przednówku pracują za bochenek chleba dziennie u nich.

Moją sytuację społeczną i współkolęgów uświadomiłem sobie znacznie później, dopiero po wojnie, kiedy to uczyłem się w gimnazjum i pracowałem jednocześnie na terenie najpierw „Wici“, a później ZMP. Teraz dopiero zdałem sobie sprawę z tego, że wieś to nie jest jednolita, związana wspólnymi celami grupa społeczna. Wewnątrz tej tylko pozornie zgodnej całości toczy się zacięta walka klasowa. Prowadził ją mój dziadek przeciw zachłanności wiejskich bogaczy, prowadził ojciec, prowadzę i ja na odcinku młodzieżowym.

2. LINIE PODZIAŁU KLASOWEGO

Od szeregu lat przyglądam się młodzieży mojej wsi i gminy, obserwuję jej społeczne życie. Uważam, że przy rozpoznaniu jej różnych oblicz społecznych podział na małorolną, średniorolną i bogacką jest konieczny. Te trzy grupy młodzieży nigdy nie żyły u nas w zgodzie, zawsze istniała między nimi mniejsza lub większa przepaść: ilość posiadanej ziemi.

Z młodzieży bezrolnej i małorolnej rekrutowała się liczna przed samą wojną w naszych stronach grupa parobków, pracujących w okolicznych dworach i u bogatych chłopów. Ludzie na podstawie obowiązującego prawa zwyczajowego pozbawieni nawet formalnych praw wolności i równości. Z tej biednej młodzieży rekrutowali się również bandyci i złodzieje, jakże często kierownicy, a nawet finansowani przez bogaczy.

Drugą grupę społeczną stanowiła i nadal stanowi młodzież średniacka. Część jej w zależności od układającej się konstelacji wpływów politycznych i warunków gospodarczych przechodziła na stronę bogaczy, inna część trzymała się z młodzieżą biedniacką. Istotną cechą naszej średniackiej młodzieży to — stałe wahanie się polityczne.

Ostatnią wreszcie grupę młodzieży stanowią bogaci. Na nią „po mieczu i kądzieli“ czekały

zawsze wszystkie zaszczyty w gminie. Młodzież ta kumała się z dworem, plebanią i wielkokołpąską oligarchią. Dziś już dworu nie ma, nawet i plebania, pozbawiona tego potężnego sojusznika — osłabła politycznie, ale bogacze są i mają znaczenie. Są to nawet nieraz starzy działacze polityczni, których radykalizm ograniczał się do walki z dworem. Oni to zapisałi na swoje konto reformę rolną. I chociaż nie chcą wyjść poza ramy tej chłopko-burżuazyjnej (antyfeudalnej) rewolucji, mają tu i ówdzie polityczny wpływ. Na te zasługi ojców powołuje się nasza bogacka młodzież.

W rzeczywistości walczą u nas ze sobą dwa obozy polityczne: młodzież drobniolna z młodzieżą bogatą. Średniacy nie mają ideologii, ale skłaniają się coraz wyraźniej i biedniakom, wchodzą za nimi w szeregi koła ZMP, które w planowy, zorganizowany sposób prowadzi walkę klasową. Bogata młodzież chodzi luzem, pozornie obojętna, w gruncie rzeczy wroga zachodzącym na terenie naszej wsi przemianom społeczno-kulturalnym i gospodarczym.

3. NASZE KOŁO PRACUJE

Gminę naszą stanowi 10 wsi, z których 8 liczy do 1.000 mieszkańców albo nawet liczbę tę przekracza. W każdej wsi istnieje większe lub mniejsze koło ZMP. Członkowie tych kół to przeważnie dumni, często jeszcze przedwojenni „wiciarze“: ZMP-owcy. Sytuacja charakterystyczna dla Rzeszowskiego. Każde koło posiada świetlicę, gdzie odbywają się zebrania, pogadanki, odczyty z dyskusjami, często przedstawienia zespołów amatorskich. W każdej świetlicy można czytać czasopisma młodzieżowe — „Nową Wieś“, „Pokolenie“, miesięcznik „Nasze koło pracuje“ i inne, przeważnie o treści gospodarczej — „Chłopi“, „Rolnik Polski“, „Gromada“ i inne. Każde koło jest dobrze zaopatrzone w prasę i na dobrą sprawę jego członkowie powinni dobrze



Klub sportowy we wsi S...



Ucząca się młodzież naszej okolicy



Muzycanci naszej okolicy. W środku stoi Józef Sumara, klęczy Minaj

niem problematyki naszego ustroju. W dyskusjach, które prowadzimy wszędzie, gdzie się da, widać wzrastający wpływ czytelnictwa różnego rodzaju prasy i książek. Widać w konkretnych osiągnięciach.

Myszę, że koło ZMP z naszej wsi może stanowić reprezentatywny dla całej gminy przykład. Według opinii Zarządu Powiatowego ZMP jesteśmy najlepszym kołem w powiecie. Otóż nasze koło liczy przeszło 60 członków. Są to wyłącznie dawni i powojenni wciararze. Z chwilą powstania ZMP (akurat rok temu) weszliśmy w szeroki nurt tej organizacji, znakomicie poszerzając naszą dotychczasową działalność wiciową. Ideologicznie wzbogacił się o sojusz chłopsko-robotniczy i rozumienie, następującej po walce o reformę rolną, walki klasowej wewnątrz z pozostałościami po kapitalizmie. W ten sposób, my — wciararze, przesunęliśmy się na nowy etap rewolucji, której cele są już zgodne w zupełności z rewolucją proletariacką.

Gdyby tak spisać pozycję po pozycjach w naszych osiągnięciach, zajęłoby to niemało miejsca. Naprawialiśmy drogi gromadzkie, pomagali przy elektryfikacji wsi, zelektrykowaliśmy własnymi siłami świetlicę i urządziliśmy ją dosłownie z niczego. Nasz zespół artystyczny ma już dobrą, ustaloną w gminie opinię. W twardej pracy nad sobą doszli nasi muzycyści do wspaniałych rezultatów. Czy wiecie, że taki samorodny talent — Józef Sumara (1928 rocznik!) opanował tak dalece skrzypce, fortepian, organy, harmonię i nawet saksofon, że gra łatwiejsze utwory Bacha (na organach), Beethovena i Chopina? Nowak Edward — najlepszy harmonista w okolicy, Chłopecki Władysław i Mihaj Władysław znani skrzypkowie. Przed wojną może by dorabiali „tangowaniem” po weselach i pijackich zabawach, dziś uczą chłopów obcowania z prawdziwą polską muzyką ludowo-narodową. I nasi sportowcy znani są w okolicy (zbudowaliśmy boisko). Dziś prowadzimy normalne rozgrywki sportowe o mistrzostwo gminy.

4. AWANS NA PRZODOWNIKA

Checiałbym Wam opowiedzieć na przykładzie mojej gminy o pewnym awansie społecznym,



Grupa dzieci z powszechnej szkoły w S.

który, jak dotąd, nie doczekał się dziejopisa. Rozumiem, że kiedy dziesiątki i setki tysięcy młodych chłopów odchodzi do wyżej niż wiejska zorganizowanej produkcji fabrycznej — to jest awans. Kiedy masy młodzieży wychodzą ze wsi do średnich szkół i na wyższe uczelnie — to także jest awans społeczny.

Ale nasza organizacja młodzieżowa pozwała swoim członkom zająć odpowiedzialne stanowiska w kregu gminy. Połowa pracowników Zarządu Gminnego to dzisiaj moi koledzy ZMP-owcy. Gdzie by kto przed wojną mógł u nas pomyśleć, że zwykły syn nieuczynionego, drobnorolnego chłopca zostanie referentem podatkowym. A my mamy już nie tylko referenta podatkowego, ale także komendanta S. P., sekretarza koła ZSCh, bibliotekarza. I w Gminnej Radzie Narodowej zasiadają przedstawiciele młodzieży. Wszyscy wy-

żej wymienieni nie posiadają wprawdzie średniego wykształcenia, ale posiadają zato wyrobienie społeczne.

Przodownicy na szczeblu gminnym i gromadzkim wyrastają u nas bezpośrednio z masy drobnorolnych i średniorolnych chłopów. Odbywa się proces awansu społecznego w kregu gminy.

Powoli, ale też i nieustannie przejmują młodzież w swoje ręce kierownictwo gminą, decydują o jej najistotniejszych sprawach. Dawniej „urzędy” przejmowała młodzież bogata. Dziś próbuje ona wszelakimi sposobami obalić wyrosłe z dołów społecznych wsi autorytety przodownicze. Posługuje się plotką, intrygą, nieraz fałszywym oskarżeniem. Ma to jednak swoje dobre strony, mobilizuje bowiem nasz aktywny do rzetelnej pracy nie dopuszczającej żadnych zarzutów.

5. W PRZYSZŁOŚĆ

Niedawno spotkałem na drodze wracającego z gminy, podobnie jak ja, pewnego biednego, starszego już chłopca. Mieliliśmy przed sobą 3 km drogi. Wywiązała się między nami długa rzeczowa rozmowa. Jej temat — ta nowiła młodzież ucząca się w miastach. Mój rozmówca cofnął się do odległych wspomnień w dawne lata, kiedy powstawał galicyjski ruch ludowy. Przed wielką, pierwszą wojną sporo młodzieży uczyło się. Wychodzili podobno na wysokie urzędników, a nawet profesorów uniwersytetu. Ale równocześnie wchodzili w klasę mieszczańską, albo, jak mówił ów chłop — w pański ruch ludowy. Z hrabiami chodziła nasza bogata młodzież oglądać oblicze cesarza Franciszka.

W latach międzywojennych szkolne progi za wysokie były dla chłopskich nóg, za ciężkie drzwi dla chłopskich rąk. W tym czasie uczyła się wyłącznie młodzież bogata. Z naszej wsi około 10. Tytu właśnie mamy bogaczy. Dziś ów 2-morgowy chłop ma syna w średniej szkole. Od samych smutnych wspomnień przeszliśmy do współczesności. Mówiliśmy, ilu nasza gmina wyda w najbliższych latach inżynierów, lekarzy, nauczycieli i innych pracowników. Było o czym mówić. Z naszej wioski (jednej z 10 w gminie) uczy się ponad 20 chłopców i dziewcząt w szkołach średnich i na wyższych uczelniach. Już w przyszłym roku otrzymamy dwie nauczycielki. Będą — racować wychowankowie liceum handlowego. Wszyscy są aktywnymi członkami ZMP i wszyscy pochodzą z drobnorolnych lub średniorolnych gospodarstw. Czekają na nich nasze gromady, czeka gmina.

Znowu wracam do wspomnień, do przedwojennych lat, kiedy to chodziłem do skromnej szkółki, w spodniach, na których pokolenia zaznaczały się łatanami.

Dziś jestem skłonny do coraz większego optymizmu. Młodzież naszej gminy awansuje wszechstronnie: na przodowników gromadzkich, na nauczycieli ludowych, na lekarzy, ekonomistów i inżynierów. Oddala nas szybko od czasów, o których mówił wracający z gminy stary, drobnorolny chłop.

Tadeusz Nowak

Marian Minies

Dojrzałość do zawodu i środowiska

Szkoły rolnicze w konkretnej pracy dla środowiska

Sprawa szkół rolniczych w Polsce Ludowej przedstawia się zupełnie inaczej niż w Polsce przedwrześniowej, gdzie dawany był uczniom tylko pewien fragment wiadomości fachowych, zazwyczaj z punktu widzenia gospodarowania folwarcznego — a więc obcego dla gospodarstwa drobnorolnego, z pominięciem kwestii społecznej.

Uczniowie byli odseperowani od środowiska. Ciągła kontrola nie dopuszczała, aby uczeń mógł wyostać się poza obręb szkoły i wziąć udział w życiu najbliższej wsi, w życiu jej młodzieżowych organizacji. A przecież celem inicjatorów pierwszych szkół rolniczych było przygotować przodowników w prowadzeniu gospodarstw swoich w duchu zdobyczy naukowych, podnoszenia kultury rolnej i brania czynnego udziału w życiu społecznym środowiska. (Dziubińska „Zaranie“).

Niektóre ze szkół rolniczych żyły tą tradycją i dawały dużo pozytywnych wiadomości młodzieży i były ustosunkowane jak najlepiej do środowiska — lecz takich było mało. Większość — to szkoły, z których duchem i metodami wychowawczymi walczyli wciararze i ludowcy na łamach postępowej prasy chłopskiej przez całe dwudziestolecie niepodległości.

W Polsce Ludowej szkoły rolnicze wkroczyły w nową fazę rozwojową. Oświata rolnicza stała się powszechną, dostępną dla każdego, pragnącego się uczyć. Szeroki system szkół przysposobienia rolniczego, gimnazjów i liceów rolniczych pokrył gęstą siecią teren Polski. I młodzież wypełniła szkoły masowo.

W początkowych latach powojennych szkoły rolnicze walczyły z całym szeregiem niedociągnięć i trudności. Nieumieblowane lokale, brak sił nauczycielskich, pomocy szkolnych, podręczników i programów. Chęć i zapał nauczycieli i uczniów pokrywały wszystkie braki.

Dziś zmieniło się dużo.

Mamy już dobrze umieblowane lokale, programy przemyślane i ujęte w system jednolity. Zwiększyła się ilość personelu, dostarczonego przez akademie rolnicze. Pracownicy zostali zaopatrzeni w pomoce naukowe, a liczne podręczniki zastąpiły początkowy werybalizm nauczania. Agronomia społeczna, ekonomika, zagadnienia z Polski współczesnej i uczniowskie spółdzielnie wyżywienia unowocześniły szkoły rolnicze i wprowadziły je w tok i tętno życia Polski Ludowej.

Jednak nie wszystkie początkowe niedociągnięcia szkół rolniczych zdołano usunąć. Powstały dwie i to bardzo ważne sprawy, które do dziś nie są ujęte programem, ani rozpracowane. Zostawione są do swobodnego uznania przez grono nauczycielskie, które nie zawsze wywiązuje się dobrze. Są to zajęcia praktyczne i wkład bezpośredni młodzieży szkolnej, nauczycielstwa i szkoły w środowisko wiejskie.

Personel dawnych szkół rolniczych nie może w większości wyzwoić się z przeszłości i dostosować zajęć praktycznych do zmienia-

jących warunków powojennych. Personel młody nie mając innych wzorów — przyjmuje system stary i zły.

Jak wygląda podział zajęć?

Dzieli się całość szkoły na kilka grup, w zależności od potrzeb szkoły, np.: rolnicza, hodowlana, ogrodnicza, internatowa, stolarska i porządkowa. Grupa rolnicza wykonuje prace związane z rolnictwem, hodowlaną z inwentarzem żywym, internatowa — wszelkie prace związane z internatem, stolarska — prace w stolarni, porządkowa — porządek w podwórzu, ogrodnicza — prace w ogrodzie, jak sadzenie warzyw, pielonki itd.

Jak wyglądał podział prac?

Dla przykładu podam podział prac w grupie rolniczej.

Do stojącej na korytarzu w dwuszeru grupy podchodzi nauczyciel rolnictwa lub zastępujący go instruktor, rzuca badawczym okiem po uczniach i zaczyna wybierać po kilku do poszczególnych prac. Kieruje się przy tym siłą fizyczną. Wygląda to na dawny podział prac w folwarkach przez rządę lub ekonoma.

Wskutek takiego podziału jeden z uczniów będzie przez cały sezon klepał kosy, bo umie to z domu; inni będą tylko orać, czy nakładać nawóz, bo są silni; inny będzie przez cały odpowiedni czas szczepił drzewka — bo tego nauczył się sam w domu, a reszta, nieodznaczająca się czymś szczególnym, słabi, będą pielnić, pielnić i pielnić, buntować się i sarkać.

W szkołach tych dochodzi często na tle zajęć praktycznych do nieprzyjemnych incy-

dentów między uczniami i prowadzącymi zajęcia.

W innych szkołach rolniczych prace w gospodarstwie oparte są tylko na stałych lub sezonowych pracownikach fizycznych, a młodzież uczy się tylko teorii.

I pierwszy i drugi system jest zły.

Szkoły rolnicze są szkołami zawodowymi. Uczeń otrzymujący maturę licealną w szkole rolniczej uzyskuje tytuł technika rolnego. Ma stanąć na odpowiedzialnym odcinku pracy w rolnictwie czy agronomii społecznej.

Czy może być dobrym pracownikiem człowiek, który w czasie pobytu w szkole przez wszystkie sezony klepał tylko kosy, czy wykonywał tylko pewną, stałą czynność, bo ja umiał jeszcze z domu, lub ciągle pielnić? Czy może być dobrym pracownikiem ten, który tylko uczył się teoretycznie, nie biorąc czynnego udziału w pracach gospodarstwa?

Pewnie, że późniejsze życie nauczy ich i mogą być jeszcze bardzo cennymi agronomami. Społeczeństwo jednak wymaga, aby już szkoła przygotowała chłopca czy dziewczynę do społecznej pracy agro-technicznej.

Mamy tak piękny przykład w naszym przemyśle przekraczania norm pracy, współzawodnictwa, pracy zespołowej, racjonalizatorstwa itd.

Dlaczego te wzory pracy polskiego robotnika nie są intensywnie przeszczepiane na teren szkół rolniczych? Dlaczego młodzież nie jest zarażana wyczynami naszych górników, metalowców, hutników, odzieżowców, murarzy i innych?

Z sanatorium na kurs społeczny

Otrzymałem list od St. Orła, którego fragment pamiętnika pt. „Dzieciństwo” czytelniczy „Wiś” pokwitował wielą pochlebnymi listami do redakcji. Młody nauczyciel gimnazjalny z Sandomierskiego odczuwał się do mnie — prywatnie — po dłuższej przerwie. Pisał mi przedtem do siebie. Błędy wskazywały na obciążenia światopoglądowe ludomańskie i na bezowocność idealistycznej wiedzy, jaką uzbrowiony został młody pisarz, dla poznania rzeczywistości społecznej. Potem przewa, milczenie. I ten list — prywatny. Niech mi to będzie jednak wybaczone, że go ogłaszam. Ta niedyskrepcja odsłania prawdę rośnięcia nowego życia w Polsce. Przenikanie nim młodych — jak bardzo, czytając:

J. A. K.

Miałem przyjechać do Redakcji i zamiast do Łodzi pojechałem do sanatorium w Zakopanem. Upięknioło sporo czasu — siedzę tu jeszcze — ostatnie na szczęście dni. To jest dopiero realizm, Redaktorze. Chleb i woda młodych lat, rozbijanie muru przeszkód zapałem i uporem chłopaka wiejskiego — zrobiły swoje. Znalazłem się w sanatorium. Ale to nie ważne.

Do „końca” podobno jeszcze daleko i dlatego ożyłem na nowo. Znowu się mnie życie zbuntowało i pójść mimo wszystko naprzód. Bo sanatorium to wyspa rozbitków i buntowników jednocześnie.

Łachmany ludzkich istnień buntują się przeciwko niesprawiedliwości losu. Niektórzy składają ręce i patrzą gdzieś — mówią, że do nieba. O pomoc — czy zmilowanie, czy cud.

Ale i w nich w końcu rodzi się bunt.

Głucho widocznie w niebiosach. Widzą tam pustkę i nienawidzą. Mieszani, gmatwani na uczu, myśli. Żal mi tych ludzi. A oto mój współtowarzysz z werandy — nauczyciel. Przepracował 29 lat w szkole w najgorszych przedwojennych warunkach, w dusznej izbie, gdzie na mokradłach. Dzisiaj jest już cieniem człowieka. Pokazuje mi ręką góry, las, potok. Jakby nie słyszał. Myśli o swoim. Słyszał, bo odpowiada wreszcie:

— A mnie, kolego, żal szkoły, chyba zdecydnie, jeżeli mi nie pozwolą uczyć.

Panie Redaktorze, ...eżdżam za 7 dni. I wie Pan — jadę od razu na kurs miesięczny nauk społecznych marksizmu itd. Przeziłem się trochę Pańskimi wywodami i spróbuję popracować dla siebie. Stracę rok, ale i będzie, mam nadzieję, mój czysty zysk, a jednocześnie „kapitał duchowy”. Jak pan widzi, szukuję się do przejścia do obozu kapitalistów. Ale biada im wówczas.

Przesyłam pozdrowienia

Stanisław Orzeł

Artykuł dyskusyjny

Dlaczego hasła współzawodnictwa na wsi, polecane przez przedstawicieli centralnych władz Związku Młodzieży Polskiej znalazły oddźwięk wśród pracowników fizycznych w majątkach państwowych i u części młodzieży z gospodarstw drobnorolnych, a dalej nie miałyby sięgnąć?

Zdajemy do socjalizmu. Ale czy szkoły rolnicze nadają się za klasą robotniczą i szkołami zawodowymi innych resortów, gdzie warsztaty i pracownie są podstawą szkolenia?

Zajęcia praktyczne w szkołach rolniczych powinny być oparte na normach, na współzawodnictwie, na pracy zespołowej, na efekcie robotogodzin, na przeliczeniu pracy na produkt, na jej wydajności.

Bezpośredni, rozumowy udział ucznia w pracy wpłynie również na ulepszenie jej i zwiększenie wydajności — rozpocznie się racjonalizacja prac rolniczych, śpiąca do dziś jeszcze, a tak pięknie rozwijająca się w innych gałęziach naszego życia gospodarczego.

Zajęcia praktyczne w szkołach rolniczych powinny być rozpracowane przez poszczególne nauczycieli i umieszczone w dzienniku, jak każdy inny przedmiot.

Nauczyciel do zajęć praktycznych powinien przygotować się każdorazowo solidnie, aby czas pracy ucznia nie został zmarnowany, aby każda minuta dała pożądaną efekt.

Czy to jest trudne?

Dla zorientowania podam kilka przykładów.

W ubiegłym roku, kiedy przez okres ferii letnich prowadziłem gospodarstwo w Państwowym Liceum Gospodarstwa Wiejskiego w Dąbrowie Zduńskiej, starałem się pracę uczennic, będących na praktyce, ująć w ramy konkretnych efektów.

Przykład pierwszy.

Dziesięć uczennic w wieku od 15 do 18 lat skończyło wiązać snopeczki po żniwarce na polu o powierzchni 1 ha o godz. 11 i 5 minut. Po 15-minutowym odpoczynku zaczęły stawiać snopeczki w mende. Uczennice nie bardzo chciały stawiać twierdząc, że nie opłacać się już do południa, tj. do godz. 12. Wreszcie zdecydowały się stawiać wszystkie jeden rząd. Na moją jednak propozycję podzieliły się na dwie połowy po pięć i zaczęły stawiać całą szerokość pola w dwa rzędy mendi. Oświadczyłem im, że tyle zestawia ile zdążą.

Początkowa niechęć ustąpiła bardzo szybko. Zamiast niechęci rozbudził się zapał i współzawodnictwo. Moja rola ograniczyła się do hamowania ich zapału. Efekt był taki, że 3 minuty przed godz. 12 stały dwa rzędy mendi o łącznej ilości 237 sztuk.

Dziewczynki były spoczone i zmęczone, ale trzeba było widzieć ich miny i entuzjazm, jaki bił od nich z dokonanego wyczynu.

Po omówieniu wyniku i skalkulowaniu go w pracy dniówkowej uczennice wykopały się i po obiedzie dałem im jako premię 2 godziny dłuższą przerwę południową. Premia ta nie kosztowała gospodarstwo nic, gdyż w przeliczeniu na pracę systemem folwarczym

dziiesięciu pracowników fizycznych satwiało-
by tę ilość mendli przynajmniej 1,5 godzin.

Dwie godziny dłuższą przerwę poświęci-
ły uczennice na lekturę.

Przykład drugi:

Przy motyczeniu buraków zastosowałem
normy. Praktykantki same pracowały na
prawach pracownika fizycznego z tym jed-
nak, że dzień pracy ich trwał 8 godzin. Resz-
tę czasu miały poświęcone na lekturę.

Ośmiogodzinna norma było przemotyczyć
cztery rzędy buraków. Pole było długie 207
metrów.

Nie było uczennicy, która by nie wykonała
tej normy i to solidnie. Lecz były i takie, że
wykonywały motyczenie pięciu, sześciu, sied-
miu a nawet ośmiu redlin, czyli 2000 procent
normy (w czasie 8 godz.). Uczennica wyko-
nująca 200 proc. normy zarabiała dwie
dniówki, wszystkie inne — stosownie do
procentu wykonanej normy.

Przy pracy najemnej, tegoż samego roku
i przy tych samych burakach, kobiety do-
rosłe nie przekraczały nigdy motyczenia
4 redlin w ciągu 11 godzin. Zestawienie to da-
ło uczniom tym tyle, ile nie mogła dać
żadna teoria ani nauczyciel, było ono jed-
nym z tylu konkretnych doświadczeń, pobu-
dzających do twórczego, planowego działania
w organizacji pracy rolniczej.

To są dwa skromne przykłady z mojej
praktyki. Mogłbym przytoczyć ich dużo wię-
cej. Wspomnę tylko, że cała praktyka waka-
cyjna uczennic w ubiegłym roku oparta była
na tym systemie.

A teraz sprawa pracy bezpośredniej uc-
niów i szkoły dla środowiska.

Ostatnio przedstawia się ona już dużo le-
piej niż było to trzy, dwa lata temu. Orga-
nizacje młodzieżowe a szczególnie Związek
Młodzieży Polskiej zacieśnia więź między
środowiskiem a szkołą.

Są szkoły rolnicze, gdzie świełica uczni-
skiego koła Z. M. P. jest jednocześnie świe-
łicą koła wiejskiego. Uczniowie są członka-
mi i szkolnego, i wioskowego koła Z.M.P.

Tak jest w Państwowym Liceum Gospodar-
stwa Wiejskiego w Dąbrowie Zduńskiej.

W tej samej szkole bardziej wyrobieni
członkowie szkolnego koła Z.M.P. jeżdżą do
okolicznych kół z referatami ideologicznymi.

W 1947—48 r. zachęciłem w Państwowym
Liceum Rolniczym w Czarnocinie uczniów
klasy maturalnej do wykładów z zakresu rol-
nictwa, hodowli i ogrodnictwa na kursach
Przysposobienia Rolniczego.

Maturzyści wciągając się w nauczanie za-
smakowali w tej dziedzinie pracy i po uzy-
skaniu świadectwa dojrzałości część ich wy-
brała zawód nauczyciela szkoły rolniczej.

W ubiegłym roku szkolnym system ten
przyjął się w Państwowym Liceum Gospo-
darstwa Wiejskiego w Dąbrowie Zduńskiej.
Uczniowie prowadzili w ciągu jesieni, zimy
i wczesnej wiosny trzy zespoły Przysposobie-
nia Rolniczego na terenie gminy. Zespoły
cieszyły się dużą frekwencją. (Dokładnie to
opisał w jednym z numerów tyg. „Wieś” Jó-
zef Grabowicz — jeszcze jako uczeń drugiej
klasy liceum, biorący udział w tej pracy).

Chciałbym zwrócić uwagę nauczycielstwu
szkół rolniczych na ten system pracy bezpo-
średniej uczniów, nauczycielstwa i szkoły
ze środowiskiem. Młodzież szkolna w tym
systemie korzysta bardzo dużo. Przygotowu-
jąc się do wykładów, powtarza i ugruntowu-
jąc materiał, z którego będzie zdawać matu-
rę. Ponadto styka się bezpośrednio ze wsią,
z jej bolączkami, życzeniami, z młodym ele-
mentem, wśród którego będzie niedługo przyjeź-
dzić jej pracować.

Na rok szkolny 1949—50 uczniowie w Pań-
stwowym Liceum Gospodarstwa Wiejskiego
w Dąbrowie Zduńskiej ułożyli sobie już plan
pracy. Przewiduje on zwiększenie kół Przy-
sposobienia Rolniczego do pięciu na terenie
gminy w porozumieniu ze Spółdzielnią Mle-
czarską - Jajczarską w Łodzi, przeprowadza-
nie pokazowego żywienia krów, w różnych
punktach gminy w gospodarstwach małych
i średniorolnych chłopów. W ten sposób mło-

dzież szkolna chce wziąć konkretny udział
w rozszerzaniu zakresu akcji „H”.

Młodzież zaplanowała również przeprowa-
dzenie planowego ukiszania pasz jesiennych,
aby przez to wpłynąć na zaopatrzenie się
gospodarstw w tanią paszę soczystą.

Aby młodzież mogła sprostać swym zama-
rom, dyrekcja Państwowego Liceum Gospo-
darstwa Wiejskiego w Dąbrowie Zduńskiej
urządza pracownię hodowlaną - mleczarską
jako warsztat prac przygotowawczych.

Wkraczamy na drogę do socjalizmu, na
drogę gospodarki zespolonej i uspołdziel-
czonej. Szkoły rolnicze nie mogą stać na
uboczu w tym marszu, a przeciwnie — przo-
dować w nim.

Artykuł mój traktuję jako dyskusyjny.

Proponuję, aby na łamach „Wsi” rozwi-
nać o poruszonych przez mnie zagadnieniach
dyskusję, aby wszyscy uczniowie, nauczy-
ciele szkół rolniczych, młodzież z kół wię-
jskich i chłopów starszego pokolenia, którzy
osiągnęli jakieś zdobycze racjonalizatorskie
na tym polu, podzielili się nimi dla wyłowie-
nia nowych metod i zastosowania ich. Czas
przerwać błąkanie się, jak dotąd, rozprosz-
onych indywidualnych wysiłków stosujących
różne przestarzałe i szkodliwe nieraz syste-
my pracy wobec zmienionych ekonomicznych
i społecznych warunków w Polsce Ludowej.

Marjan Minias.

Stanisław Marczak-Oborski

D W I E K O M E D I E

Kwestia: czy warto wydawać w publi-
kacjach książkowych teksty dramaty-
czne przeznaczone do grania w teatrze
— została już dawno rozstrzygnięta.
Warto i należy. Dobrze się też stało, że różne
instytucje wydawnicze zapoznały nas pra-
wie ze wszystkimi poważniejszymi utworami
powojennej dramaturgii polskiej. Wyszyły
drukami sztuki Andrzejewskiego i Zagór-
skiego, Bieńkowskiej, Brzozy, Flukowskiego,
Hołuj, Kałużyńskiego, Kruczkowskiego, Ku-
backiego, Swirszczyńskiej, Szaniawskiego,
Ważyka, Zawieyskiego i innych. Działo się
natomiast gorzej, że do bieżącego roku nie
mieliśmy ani jednego książkowego przekła-
du ze scenicznej literatury radzieckiej, je-
śli nie liczyć wydanego w roku 1946 w Mo-
skwie (Wydawnictwo Literatury w Językach
Obcych) „Najazdu” Leonowa w przekładzie
Gabrieli Pauszer.

Zaniedbanie to postanowiła naprawić
Spółdzielnia Wydawnicza „Współpraca”, za-
pewniając cykl sztuk czołowych autorów:
Erenburga, Korniejczuka, Simonowa, So-
fronowa, Surowa i innych. Pierwszy tomik
serii zawiera komedię Isajewa i Galicza:
„Tu mówi Tajmyr”.

Inicjatywa wydawnicza niezwykle słuszna
i godna poparcia ze strony krytyki, świata
teatralnego i czytelników. Nasza znajomość
literatury radzieckiej byłaby niepełna bez
lektury repertuaru teatralnego. Wiemy zresz-
tą, że awangardowość i znaczenie tej li-
teratury manifestuje się w twórczości dra-
matycznej równie ważko jak w powieści i
poezji.

Tym lepiej więc, że obok „Tajmyra” ma-
my do zanotowania drugą pozycję. Spółdziel-
nia „Książka i Wiedza” wydała komedię Pie-
trowa „Wyspa pokoju”. Na marginesie jesz-
cze dwie pochwały dla wydawców. Publi-
kacja „Książki i Wiedzy” odznacza się piękną
szatą zewnętrzną; publikacja „Współpracy”
— niższą (prawie o połowę) ceną. Obie za-
lety bardzo ważne.

Zestawienie dwu sztuk byłoby ryzykowne,
gdyby łączył je tylko przypadkowy fakt
równoczesnego wydania. Trzeba sobie zda-
wać sprawę, że między datą napisania jed-
nej i drugiej minęło dziesięć lat („Wyspa” —
rok 1939; „Tajmyr” — 1948). Trudno też dzi-
wić się stopniom sprawności pisarskiej zna-
komitego współautora „Dwunastu krzesel”
i „Złotego cielca” Eugeniusza Pietrowa —
i młodych, zresztą bardzo utalentowanych,
debiutantów Isajewa i Galicza.

A jednak jakże uderzające jest zestawie-
nie egzotycznej wyspy na Oceanie Spokoj-
nym i północnego półwyspu Tajmyru. Pro-
blem obu utworów da się sprowadzić — mi-
mo wszystkich różnic — do jednego mianow-
nika: jak ustroić społeczno-gospodarczy
kształt człowieka, czym stają się ludzie
wpleceni w krąg kapitalistycznych machi-
nacji naftowych — i czym być mogą prze-
jęci ideą budownictwa socjalistycznego.

Sztuka Pietrowa jest wyrazistą satyrą na
mieszczańską czy arystokratyczną (jak się te
czasy zmieniają? to dzisiaj prawie wszystko
jedno...) pacyfizm typu anglosaskiego.

Rzecz dzieje się przed drugą wojną świa-
tową. Kapitalista brytyjski mr. Jacobs traf-
nie, acz z pełnym przerażeniem, przewiduje
zbliżającą się katastrofę. Likwiduje więc
swoje londyńskie interesy i wraz z rodziną
ucieka na małą, nieznaną wysepkę na Pacy-
fiku. Nie upływa jednak wiele czasu, a na
„wyspie pokoju” tryska nafta. I od razu roz-
poczyna się piekło imperialistycznych kom-
binacji gospodarczych. Kiedy sytuacja za-
ostrza się, w kącie idzie cała frazeologia huma-
nistyczna. Sztukę kończy rozkaz: „ognia!”,
wydany przez zaprzysiężonego pacyfistę —
ale do granic zagrożenia swoich kapitalisty-

cznych interesów, swojej kapitalistycznej oj-
czyzny.

„Wyspa” ma parę doskonałych momentów
satyrycznych np. kiedy mr. Jacobs, zmuszo-
ny do ustępstw na rzecz Japonii, poświęca
— oczywiście lejąc łyzy krokodyle — intere-
sy zaprzysiężonych tubylców, którzy naiw-
nie oddali się pod jego opiekę. Celność sfor-
muowań satyrycznych Pietrowa uwidacznia
kwestia pułkownika brytyjskiego, który w
szczerej rozmowie z przyjacielem — pacy-
fistą — powiada po prostu „zło polega nie
na tym, że istnieją wojny, lecz na tym, że
Anglia ostabia”.

Znakomitym chwytym teatralnym jest u-
miejscowienie całej akcji komedii w tym
samym wnętrzu z jednakowymi meblami.
Tylko widok za oknem świadczy o zmianie
scenerii i postępie wydarzeń. Jacobsowie
zawsze pragną, aby otaczający ich świat
został taki sam — pod każdą szerokością ge-
ograficzną.

W „Wyspie pokoju” nie ma ani jednej po-
staci, jak się to mówi, „pozytywnej”. A za-
razem nie ma w niej „czarnych charakte-
rów”. Mr. Jacobs z I aktu, nienawidzący
wojny, wzbudza naszą sympatię. To nie jest
zły człowiek. Dopiero dalsza akcja komedii
ukazuje, jak jej bohater musi się zakłamać,
popelniać jedną podłość po drugiej, kiedy nie
chce i nie może sprzeniewierzyć się intere-
som swojej klasy — posiadającej i pragnącej
posiadać w nieskończoność.

Wymowna jest również beznadziejna —
choć pokazana w komediowym wymiarze —
sytuacja sekretarza Jacobsa. Ten zdolny ge-
olog skazany jest na marną vegetację w
cieniu szefa — rekina. Brak mu sprytu, bez
którego jego kwalifikacje naukowe są ni-
czym. „Zarażony naftą” — jak sam powiada,
nie znajdzie nigdzie szczęścia twórczej pracy.

Isajew i Galicz operują podobną metodą
wydobywania postaci z tła społecznego. Ich
bohaterzy żyją jednak w innym świecie, dla-
tego inny jest ich los, inna atmosfera sztu-
ki.

Pomysł komedii jest bardzo prosty. We
wspólnym pokoju hotelowym w Moskwie
spotyka się czterech ludzi z różnych zakąt-
ków Związku Radzieckiego. Dyrektor admi-
nistracyjny krymskiego teatru, stary pszcze-
larz — przodownik pracy, młodociany geo-
log i wreszcie przedstawiciel północnego pół-
wyspu Tajmyru. Ten ostatni wysuwa się na
czoło akcji. Przyjechał tylko na dwa dni, ma
do załatwienia masę interesów związanych
z zagospodarowaniem swojej placówki — a
tu dostaje wiadomość o mającym nastąpić
ważnym połączeniu telefonicznym z Tajmy-
rem, na które trzeba czekać cierpliwie w ho-
telu. Czarna rozpacz! Ale przypadkowi
współlokatorzy przychodzą mu z pomocą:
swoją wolną czas postanawiają poświęcić
sprawie dalekiego półwyspu. Skłania ich do
tego sympatia dla entuzjastycznego tajmy-
rzysty, wrodzona serdeczność radzieckich
ludzi i zainteresowanie egzotycznym zakąt-
kiem. Dopiero w trudzie roboty pojmują,
że pracowali dla wspólnego dobra, dla bli-
skiej im wszystkim sprawy: rozwoju socjali-
stycznej gospodarki.

Łączą się z tym perypetie zreszcie nawła-
zanej intrygi opartej na nieporozumieniach
co do osób (w grę wchodzi dwie urocz-
dziewczyny, pozorny konflikt między miło-
ścią a przyjaźnią itd.).

Pierwszą zaletą „Tajmyru” jest humor —
żywy, naturalny, całkowicie komunikatyw-
ny, pozbawiony zupełnie jakiegokolwiek
trywialności. Autorzy umieli dostrzec śmie-
szości pszczelarza-pieniacza, wtrącańskiego

Pięciolecie Filmu Polskiego

(dokończenie ze str. 5)

nili w społeczeństwie getta warszawskiego,
tego z filmu dowiedzieć się nie możemy. Po-
dobny brak zrelatywizowania klasowego wi-
doczny jest w przedstawionym przez Forda
społeczeństwie polskim; reprezentantami idei
postępu są dorozkarz (?) i jego syn, jedyni
przedstawicielami drugiej strony podzia-
łu klasowego są ludzie otwarcie solidaryzu-
jący się z Niemcami, a syn antysemita Woj-
tana przeżywa konwersję, umotywowaną

również jedynie kultem dla męczeństwa ja-
ko takiego. Co więcej, istnieją w filmie po-
stacie, których oblicze klasowe jest całkowi-
cie mętne (doktor Białek, guwernantka Ja-
dzi). Pomimo tych błędów — niewątpliwie
poważnych — za zasługę filmu należy po-
czytać to, że w filmie zostały pokazane —
i to w sposób niezafalszowany — metody
eksterminacji Żydów, przede wszystkim an-
tysemityzm wraz z jego funkcją społeczną

polegającą na powiązaniu ideologicznym
okupanta ze wsteczną częścią społeczeństwa
polskiego.

Wypadałoby wspomnieć o jeszcze jednym
polskim dziele filmowym, tym razem wykra-
czającym w czasie poza tematykę wojenną,
którego akcja rozgrywa się w okresie nastę-
pującym bezpośrednio po zakończeniu woj-
ny. Mamy na myśli pierwszą powojenną ko-
medię filmową: „Skarb”. Schematy estetycz-
ne filmu przedwojennego, o jakich mówili-
śmy szczegółowo w pierwszej części artyku-
łu, szczególnie silnie panoszyły się w kome-
dii filmowej; dlatego też zadanie przełama-
nia tych schematów musiało być dla realiza-
torów tego filmu szczególnie trudne; pomi-
mo to trzeba przyznać, że twórcy „Skarbu”
zadanie to wykonali. Realizatorzy tego filmu
potrafili (niewątpliwie korzystając z wzorów
komedii radzieckiej) zerwać całkowicie z ano-
nimowością środowiska społecznego postaci
występujących w filmie oraz skonstruować
jego akcję na tle najżywniejszych zagad-
nień, którymi żyje całe społeczeństwo, za-
gadnień takich, jak problem mieszkaniowy,
odbudowa Warszawy itp.

Dlatego właśnie te filmy, które wyzwały
się solidaryzmu społecznego i gloryfikowa-
nia sytuacji Polski przedwrześniowej, które
złamały konwencje estetyczne burżuazyjnej
kinematografii, sięgając po nowe środowi-
sko, ukazując pierwszoplanowe konflikty
społeczne i tym samym zasadniczo zmienia-
jąc funkcję społeczną filmu, wskazują dalszą
drogę rozwoju polskiej kinematografii, która
z całą pewnością zmierzać będzie ku ukaza-
niu formowania się socjalizmu, wydobywać
będzie konflikty z tym związane, przekaże
obraz przekształceń moralności społecznej,
zależnej bezpośrednio od przeobrażeń ustro-
jowych, zbliżając się ku socjalistycznemu re-
alizmowi.

L. Budrecki i W. Jedlicki.

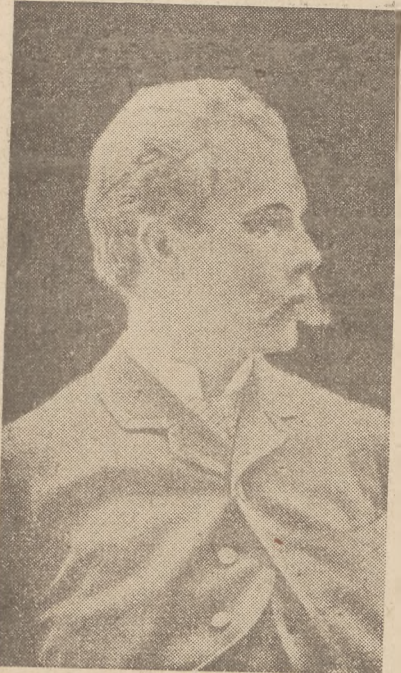


„Zakazane piosenki”

*) Konstanty Isajew i Aleksander Galicz:
„Tu mówi Tajmyr”, komedia w 3 aktach.
Przekład Aleksandra Maliszewskiego. War-
szawa, 1949 r. Spółdzielnia Wydawnicza
„Współpraca”, str. 116.

Eugeniusz Pietrow: „Wyspa pokoju”, ko-
media w 4 aktach. Przełożyła Maria Witow-
ska, Warszawa, 1949 r. Spółdz. Wyd. „Książ-
ka i Wiedza”, str. 126.

Saturnin Dąbrowski

ZAPOMNIANA POWIEŚĆ O WSI^{*)}Wacław Karczewski (1855—1911)
(Marian Jasieńczyk)

W roku 1898 nakładem księgarni Grendyszyńskiego w Petersburgu ukazała się jedynotomowa powieść Mariana Jasieńczyka^{*)} pod tyt. „W Wielgiem”.

Losy tej książki są wielce charakterystyczne dla ówczesnych stosunków społeczno-ideologicznych, jakże przejawiały się na tle twórczości literackiej. Utwór ten zdobył sobie pełne uznanie krytyki. W. Feldman (współczesna Literatura Polska — Warszawa 1905 r.) ocenia go w sposób następujący: „O ile w nowelach (wydane pt. „Drobiazgów garść”) Jasieńczyk jest małowartościowy i zależny od Dygasińskiego i Sienkiewicza, o tyle objawia w wielkiej swej powieści talent artystyczny szczerzy i szlachetny ambicją stworzenia nowoczesnej epopei chłopskiej. W pomysłach zbliżonym do „Chama” Orzeszkowej, posiada ona w ujęciu psychologii zbiorowej chłopów ustępy znakomite”.

K. Czachowski (obraz współczesnej literatury polskiej, Lwów 1934) utwór ten uważa za najlepszą powieść wiejską do czasów ukazania się „Chłopów” Reymonta. „Bezpośrednia znajomość życia wiejskiego i dążenie do pogłębienia prawdy ludzkiej łączą się tu do poważnym staraniem o artyzmu stylu pisarskiego, nawet w kierunku opanowania muryznych wartości języka”.

Wobec tak zdecydowanie pozytywnej oceny krytyki, dziwnym jest fakt, że książka ta od chwili swego ukazania się utonąła jakby w zapomnieniu.

Czyżby efektowna „epopeja” o życiu Książaków w Lipcach („Chłopi” Reymontowskiego) drukowana w 1901 r. tak dalece przesłoniła wszystkie inne obrazy wiejskie, że zarówno czytelnicy jak i wydawcy nie zainteresowali się szerzej bezpretensjonalną „sielanką” życia wiejskiego z okolic Iłży? Ten zbieg okoliczności wydawniczych bynajmniej nie tłumaczy obojętności, z jaką przyjęto „Wielgiem”. Powieść ta posiada całkowicie odrębną pozycję zarówno pod względem treści, jak formy artystycznej oraz podłoża ideologicznego; przy tym przy swobodnej, prostej konstrukcji daleko odbiega od powszechnie wprowadzonego wówczas typu powieści.

Pisarze współcześni Jasieńczykowi na szeroką skalę wprowadzali lud do literatury, ale zachowywali pewien „dystans społeczny” pisząc o chłopach, przedstawiali ich jako ludzi odmiennego środowiska, społecznie niżej położonego, jako istoty o mniejszej skali przeżyć kulturalnych.

Akcja utworu zasadniczo skupia się wokół perypetii miłosnych Jakuba Musiały. Trzeba jednak przyznać, że wszelkie przeżycia jego przedstawione są w szerokiej skali odczuć, tak, jak dotąd pisano tylko o erotyzmie ludzi ze sfer wyższych.

Jasieńczyk nie wprowadza akcentów publicystycznych w formie wyraźnie sformu-

wanych wniosków — natomiast przez zestawienie i artystyczne uwydatnienie faktów wyraźnie zaznacza swą głęboką postawę ideową.

Dwór z całym swym kompleksem zagadnień ekonomicznych właściwie wyłączony został z akcji powieści — natomiast istnieje on jako narośl na życiu kulturalnym wsi. Dwór jako zjawisko socjalne, aby wobec mas utrwalić swą wyniosłą pozycję społeczną i ekonomiczną, ostania się polem cywilizacyjnym i przy tej fałszywej postawie w zbiorności duchową wsi sączy jad deprawacji moralnej. Wyrazem tych przejawów jest postępowanie Magdzi Nowotniakówny, która odurzona elegancją dworskiego towarzystwa, przyswajając sobie jego cechy zewnętrzne, usiłuje się wzniesić ponad poziom swego środowiska przez wyrażenie pogardy dla jego „chemstwa”.

Magdzia — podobnie jak Musiała — w powieści przedstawia typ zupełnie pełny. Obrazuje ona typ powszechny — może przejawskrawiony — o wypaczonych pojęciach i ambiacjach kulturalnych. Podobny typ, jeżeli chodzi o jego podłoże psychologiczne, zjawiać się może w każdym innym środowisku — bez względu na jego poziom społeczny i stopień wyposażenia cywilizacyjnego.

Wprowadzając postać zdeprawowanej moralnie Magdzi — Jasieńczyk rzuca oskarżenie warstwom, które chcą uchodzić za świeczniki postępu narodu. W prostaczej, a zdeprawowanej duszy tej „córki ludu” odbija się cały fałsz kulturalny i moralny sfer, które podnoszą swe pretensje do „wyższości inteligencje”.

Drugi przejaw kwestii społecznej, uwidoczniony we „Wielgiem”, związany jest z wewnętrznymi sprawami wsi.

Powieść przedstawia nam typ zubożonego chłopca, który przy swym nasyceniu mate-

rialnym całkowicie jałowiej ideowo i dochodzi do swoistego stanu sybarytyzmu. Obojętnie na sprawy swego środowiska, a goni za uciechami. W żądy życia reszty męskich sił nie cofa się przed tym, aby zmarnować krwawy dorobek całego poprzedniego pracowitego żywota. (Dla przypodobania się ponętnej Magdzi oddaje jej ukryte w garnku oszczędności). Ta chęć chłopca użycia i okazania się na swój sposób niewątpliwie jest wynikiem deprawującego oddziaływania sfer dworskich, które przez wyżywanie się na szeroką skalę usiłują uwydatnić swą wyższość społeczną i kulturalną.

„W Wielgiem” posiada niezaprzeczone wartości artystyczne i ideowe. Lecz, aby ustalić jego pozycję literacką niesłusznie jest podejście Feldmana i Czachowskiego, którzy utwór ten oceniają z punktu widzenia dążeń do stworzenia epopei wiejskiej. Roznach „epiczny” — jako wyraz doszukiwania się dzieł zakrojonych na wielką miarę, był manierą literacką minionej epoki.

Jest oczywiste, że Jasieńczyka nie można pościć o tego rodzaju pompacyjne aspiracje.

„W Wielgiem” nie pretenduje do miana epopei, gdyż nie przedstawia całości życia wsi. Nawet Musiały nie widzimy w pełnym toku spraw gospodarskich. Również pobieżnie przedstawia ono treść życia kulturalnego ludu, przejawiającego się w jego twórczości artystycznej.

„W Wielgiem” nie rosząc pretensji do przedstawienia wsi jako całości ukazuje pewne zjawiska obyczajowe: naśladownictwo elegancji państwa ze dworu i rozrzutność w pogoni za uciechami życia. Objawy te na wsi warto wiązać z procesem degradacji ekonomicznej i społecznej ziemiaństwa, o której pisał prof. Chałasiński w „Genealogii społecznej inteligencji polskiej”.

Wiesław Wiejski

CZYTELNICTWO W JAROSŁAWCU

Jarosławiec — duża uboga wieś, leży na skraju Rzeczypospolitej Ludowej, w zamorskim powiecie. Jeszcze w rok po wojnie nie starczyłoby palców u rąk i nóg, żeby policzyć parobków służących u bogatych chłopów, czy drobnorolnych dorabiających gdzieś w okolicy. Natomiast polichenie czytających książki nie nastęrczałoby większej trudności.

Sprawa czytelnictwa ruszyła z miejsca stosunkowo niedawno. Będzie chyba przeszło rok temu, kiedy władzę w gminie przejęli drobni i średniorolni chłopci. Zastanawialiśmy się w Jarosławcu, od czego zacząć akcję upowszechniania czytelnictwa. Nasz sołtys — Tygas zaproponował, żeby rozpocząć ją od wprowadzenia na wieś gazety prenumerowanej. Bo regularnie przychodząca gazeta już samym wyglądem zachęca do czytania, a sposobna ku temu chwila zawsze się znajdzie w ciągu dnia. Można wykorzystać przerwy o biadawie, poobiednie, podwieczorki w polu. Stanowisko sołtysa popierał gorąco agronom. Wiadomo — powiedział — że jeżeli się u nas dotąd czytało, to w domu, dlatego trzeba od prenumerowanej gazety zacząć. Jak się ma własną gazetę, to można odnotować ciekawsze sprawy, do których wypadnie jeszcze powrócić. Gazetę się kompletuje.

Nasz agronom zwracał uwagę na fakt, że opinia czytelnictwa wytwarza się najpierw wśród odbiorców gazety, którzy chętnie gromadzą całe roczniki, tworzą sobie biblioteczki. Z gazet składają sobie czytelnicy całe książki. No, szereg chłopów, czytelników „Rolnika Polskiego” złożyło sobie „Krzyżaków”. Doszło od gazety do książki.

więc postawiliśmy najpierw na gazety. I obrze się stało. Dziś można w Jarosławcu dzielić czytelników na kilka kategorii.

Starsi chłopci, a w każdym razie ci, którzy prowadzą gospodarstwa, czytają regularnie: „Chłopską Drogę”, „Gromadę”, „Rolnika Polskiego” i „Chłopów”. Gazety te dają czytelnikowi tygodniowy przegląd ważnych spraw dziejących się w Polsce i za granicą. Ale przy organizowaniu się czytelnictwa najistotniejszym chyba momentem jest to, że gazety te prowokują chłopów do dyskusji — ba

— nawet zmuszają do chwytania za pióro. Wskazówki rolnicze, zajmujące nieraz po kilka stronice wywołują szereg zapytań, które pisemnie kierują chłopci do poszczególnych redakcji. Porady z zakresu gospodarki i prawne są szeroko komentowane. Nieraz całe grupy gospodarzy piszą wspólny list do dalekiej Warszawy. Trafia się czasem, że jakaś porada, czyjś głos z innego terenu nie odpowiada naszym czytelnikom. Wtedy wybucha dyskusja, padają różne zdania, aż wreszcie któryś z chłopów chwyci za pióro i pisze. Często zwracają się starsi jarosławianie do przedstawicieli młodzieży ZMP-owskiej, żeby w ich imieniu zabrała głos w piśmie.

W naszych stronach jest sporo młodych pisarzy terenowych, korespondentów rozmaitych pism, szczególnie zaś pism ZMP-owskich — „Nowej Drogi” i „Pokolenia”. Stąd też młodzież czyta te pisma regularnie i rzeczywiście od deski do deski. Stwierdzić należy, że „Nowa Wieś” niesie pomoc nie tylko młodzieży, ale jest czytana chętnie także przez starszych. Przystępny język, prosty styl wypowiedzi decydują w poważnym stopniu o powodzeniu tego pisma na wsi.

Specjalną i ważną społecznie grupę czytelników stanowi młodzież ZMP-owska ucząca się w średnich szkołach. Szuka ona w prasie wiadomości z zakresu literatury, ponieważ wiąże się one z materiałem przerabianym w szkole. Stąd też głównie w tej grupie czytelnicej spotykamy „Wieś” a nawet i „Kuźnicę”. Oczywiście są pewne trudności z czytaniem tych pism. Chłopcy i dziewczęta z młodszych klas nie są do czytania tych pism przygotowani. Szukają pomocy u starszych. Starsi znowu radzą sobie jak mogą. Słychać jednak wśród nich często, że krytyka literacka jest niezrozumiała. Młodzieży chodzi o to, aby po przeczytaniu recenzji z książek Zukrowskiego ostatecznie wiedzieć, jaką przedstawiają wartość społeczną. Bo jest to autor czytany chętnie, ale nikt u nas nie wie, czy zestawiał go z Sienkiewiczem, czy z Kruczkowskim.

Chodzi o taką prostą sprawę, że od tej młodzieży żąda się, aby prowadziła odpowiednią propagandę czytelnictwa. Jeżeli uruchomi się w gminie dużą bibliotekę, zaraz idą poprzez

Artystycznie jest to utwór doskonale zarty w swej konstrukcji, powieść o wysoce logicznym przebiegu akcji^{*)}. Autor prostymi środkami wydobyla rozległe i głębokie wrażenia artystyczne, które w pierwszym rzędzie przejawiają się w żywości i malowniczości opowiadania. Pogodny nastrój, subtelny humor, jaki nieczęsto zjawia się w literaturze polskiej — to dalsze zalety, które podnoszą wartość tego jedynego utworu Jasieńczyka.

Postawa bezpośrednia, pozbawiona dystansu społecznego, jaką w swym utworze podświadomie zajął Jasieńczyk — została utrwalona i udoskonalona dopiero dziś, kiedy do literatury wtargnęli synowie ludu.

W powieściach Wasilewskiej (Ziemia i jarzmie), w opowiadaniach Kowalskiego (Dalekie i bliskie), w opowiadaniach W. Burka (Droga przez wieś), w powieściach J. Mortona (Wawrzek syn Wawrzyńca), Gałaja (Mystkowiec — wioska mała, Paweł Łękiś, Krystalizacja). Pogana, Godździłowiczka i innych nie ma już tej wyniosłości, kiedy z wyzn społecznymi i kulturalnymi w sposób „wstrząsający i budzący litość” mówi się o niedolach ludzi na mizinach.

^{*)} Zwartość konstrukcji została podważona w ostatniej części, stanowiącej zakończenie, w której jako przeciwstawienie do Jakuba Musiały autor usiłuje wprowadzić „dodatnie” typy chłopskie, skromnie „poprzestające na swoim” w osobach córki Kasi i jej męża Wicka. Koncepcja ta wpada w banał. Czy Jasieńczyk świadomie wprowadził tego rodzaju dysharmonię z założeniem ideowym poprzedniego toku powieści? Można w to wątpić. W dorobieniu zgoła niepotrzebnej części czwartej, raczej należy się dopatrywać kompromisu na rzecz manieri literackiej epoki, która powieści lubiła kończyć pozytywnym morałem. (Schylek pozytywizmu).

ADMINISTRACJA TYGODNIKA

» W I E Ś «

PRZYPOMINA O UREGULOWANIU
PRENUMERATY ZA II PÓŁROCZE BR.PRENUMERATĘ PROSIMY WPLACAĆ
NA K O N T O P K O
W A R S Z A W A 1 - 6 8 4 1

Szkoła urywa komentarz na Żeromskim, pisma społeczno-literackie mają zbyt wysoki poziom.

I doprawdy trudno będzie naszemu sołtysowi, agronomowi czy wiejskiej młodzieży ZMP na to poradzić.

Typowa demokracja

Wg informacji prasy amerykańskiej bezrobocie wzrasta w Stanach Zjednoczonych niemalże z tygodnia na tydzień. Spadkowi zaś zatrudnienia towarzyszy bezustanny wzrost zysku wielkich monopolów. Oto pewne cyfry: W ciągu pierwszego półrocza br. General Motors Corporation osiągnęła czysty zysk w wysokości 808,9 milionów dolarów, podczas gdy w tym samym czasie ubiegłego roku zysk ich wyniósł 206 milionów dolarów. Westinghouse Electric and Manufacturing Co. osiągnęły czysty zysk 28,4 miliona wobec 27,4 mil. w roku ubiegłym. Bethlehem Steel Corp. osiągnęła w ciągu pierwszych miesięcy br. blisko 60 milionów wobec 30 milionów z odpowiedniego okresu r. ub.

Czyż nie jest to typowy obraz amerykańskiej „demokracji”? Wzrastające bezrobocie, wzrastające zyski monopolów. Typowa „demokracja” — nieprawdaż.

R. T.

„Po owocach ich poznacie je”

Z frontu zagranicznego.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych Włoch zakomunikowało, że „wznowione zostały pertraktacje handlowe z Jugosławią...”. „Giornale de Italia” opublikowała informację amerykańskiej agencji International News Service, że za radą rządu USA Tito zamierza po podpisaniu włosko-jugosłowiańskiego układu handlowego spotkać się z de Gasperim dla „rozwiązania” kwestii Triestu. Za radą rządu USA...

A na froncie wewnętrznym? Najmłodniejsze hasło to sojusz z kulakami. Bo kulak jugosłowiański — według titowców — różni się od innych kulaków na świecie. „Odnacza się większą świadomością”, „lubi on socjalizm i sam pragnie kolektywizacji”. Oczywiście takiej kolektywizacji, jaką przeprowadzą titowcy, gdzie kulak zasiada w zarządzie spółdzielni produkcyjnej, jest uwolniony od podatków, czerpie największe zyski i wyzyskuje... jak za najlepszych czasów królewskich biednego chłopca.

Fakty? Rugi biednych chłopów z setek gospodarstw dla wzmocnienia bazy kulackiej w spółdzielniach, obsadzanie stanowisk w spółdzielniach i urzędach przez kulaków, cyfra 157.714 kulaków we „Froncie Narodowym”, wreszcie awanturzysta polityka „K.C. K. P. J.”, polityka sojuszu z kulakami, urągająca socjalistycznej przebudowie wsi.

Na zewnątrz rady rządu USA — na wewnątrz rady kulaków, wśród których najmłodniejsze hasło: „My jesteśmy Tita — Tito jest nasz!” Brawo!

P.

Dwa „W”

Najprzód Niemcom błogosławił papież. Nieco później (zaledwień twdził oddzielał niemieckie przemówienie papieża od wizyty amerykańskich generałów) na Niemcy zachodnie — a ściślej na niemieckich monopolistów spłynęło „błogosławieństwo” sztabu amerykańskiego. Papież mówił o „niezasłużonych cierpieniach” „wybranego” narodu. Amerykańscy generałowie przybyli z planem orestaurowania armii niemieckiej, której przewodziłby ex-hitlerowcy. Fakty nie wymagają komentarzy. Tym bardziej, że — jak podaje prasa włoska — ostatnie posunięcia polityczne Watykanu odbywały się w ścisłym porozumieniu z delegatami Stanów Zjednoczonych przy Watykanie, Myronem Tylorem.

Tak broni Watykan polityki Waszyngtonu j. k.

Przyjaźń wbrew podlegaczom wojennym

W ostatnim okresie rady związków zawodowych w Birmingham i Coventry (W. Brytania) wystosowały do robotników Swierdłowska (Związek Radziecki) apel, nawołujący do dalszego zacieśnienia przyjaźni między narodami Anglii i Związku Radzieckiego. Apel angielskich robotników napotkał na entuzjastyczny odzew robotników swierdłowskich. „Droży przyjaciele i towarzysze — pisali w odpowiedzi robotnicy Swierdłowska — wasz apel, zaadresowany do robotników i pracowników umysłowych Swierdłowska, odbił się głośnie echem i spotkał się z najserdeczniejszą aprobatą mas pracujących naszego miasta.

Masy pracujące Swierdłowska, jak i cały naród radziecki, zajęci są pokojową, twórczą pracą nad odbudową i dalszym rozwojem gospodarki narodowej naszego kraju, któremu niemieccy zaborcy faszystowscy wyrządzili podczas wojny ciężkie straty. Jesteśmy głęboko zainteresowani w długotrwałym pokoju. Robotnicy i pracownicy umysłowi Związku Radzieckiego dążą ze wszelkich miar do zacieśnienia i rozwinięcia przyjaźni i współpracy międzynarodowej z narodami Anglii, Stanów Zjednoczonych Ameryki i innych krajów, bo wiem przyjaźń między narodami jest ręką mią trwałego pokoju na całym świecie.

Jesteśmy przekonani, że narody Anglii, Stanów Zjednoczonych Ameryki i innych krajów nie chcą wojny, podzielamy całkowicie wasze zdanie, że wojna musi być zapobiegana a sprawę obrony pokoju posunąć naprzód drogą wzmocnienia walki o pokój, drogą zacieśnienia przyjaźni między narodami Anglii i Związku Radzieckiego”.

Wbrew zakusom Bevina i Attlee, wbrew gwałtownej propagandzie antyradzieckiej, szerzonej przez prasę imperialistyczną wrzasta i zacieśnia się międzynarodowy sojusz robotniczy. Wbrew podlegaczom wojennym — w imię pokoju i demokracji!

nk.

FAKTY i ZDANIA

Skutki amerykańskiej opieki

Francuski Minister Obrony Narodowej Ramadier podpisał ustawę o „reorganizacji unarodowionych towarzystw lotniczych”. Jak wyglądała ta „reorganizacja”?

Prasa francuska podaje listy fabryk Narodowych Towarzystw Przemysłu Lotniczego, które na podstawie wspomnianej ustawy zostały całkowicie zamknięte ew. ograniczone w produkcji. Oczywiście w pierwszym i drugim wypadku powiększa się szereg i tak już licznej armii bezrobotnych we Francji.

Miłość pokoju, wstręt do wojny?

Chyba na pokój nie „zachorował” jeszcze p. Ramadier. A przecież „choroba” tłumaczy jasno. W Waszyngtonie toczą się obecnie „rozkowania” między przedstawicielami USA i państw zachodnio-europejskich, rokowania, które stawiają pod znakiem zapytania wszelkie plany produkcyjne państw marshallowskich. Memorandum administracji planu Marshalla stawia sprawę jasno: państwa zachodnio-europejskie winny zmniejszyć... m. in. projektowane plany produkcji ropy naftowej.

Zmniejszyć, bo leży to w interesie monopolistów z USA.

Tak się „rozwią” i „reorganizuje” przemysł zachodnio-europejski pod pieczę Stanów Zjednoczonych.

Niewygodne tematy

Nie chciałbym, aby mnie „Tygodnik Powszechny” posądzał o złośliwość, jednak jest dużo racji w tym, że wielokroć wspominała „Więś” „Tygodnikowi” cele w przemilczeniu niektórych („wybranych” jakby powiedzieli redaktorzy w sutannach) problemów dzisiejszego dnia. Nie będę powtarzał starych zarzutów. Nie będę również wypominał (prze)dziwnej obojętności „Tygodnika Powszechnego”, pisma społeczno-katolickiego na sprawy wiary i religii w Polsce. Cóż z tego, że Rząd R. P. składa oświadczenie na temat politycznej uchwały Watykanu o ekskomunice... według „Tygodnika” są sprawy ważniejsze, jak naprzykład sprawa nowego rytuału kościelnego dla Niemiec, uwzględniającego... „pewne odrębności narodowe i historyczne” naszego zachodniego sąsiada. („T. P.” nr 30, 31 lipiec).

To, że katolickie społeczeństwo polskie przeciwstawia się jednomyślnie uchwałom Watykanu, a tym samym imperialistycznej polityce części wyższego kleru w Polsce — zdaje się redakcji „T. P.” nie obchodzić. A raczej „Tyg. Pow.” woli o tym nie pisać. To takie... „niewygodne”.

Cóż jednak robić! Czy w nas — m numerze redakcji „Tygodnika Powszechnego” również przemilczy sprawę dekretu rządowego o ochronie wolności sumienia i wyznania w Polsce?

Myślę, że ten akt ustawodawczy ma i dla grupy kościelnej zasadnicze znaczenie.

G.

Kogo broni papież?

Ks. Jan Piwowarczyk pisał w komentarzu do encykliki „Quadragesimo Anno” (wyd.

Verbum, KCUXLVI) słowa, które warto dziś przypomnieć: Otóż! To zdecydowane przeciwstawienie sobie „katolicyzmu” i „socjalizmu” jako dwóch sprzecznych ze sobą światopoglądów i systemów myśli trzeba zrozumieć ściśle w duchu poprzednio postawionych przez papieża zasad. Skutkiem tego należy powiedzieć, że przez „socjalizm”, jako system myśli sprzeczny z katolicyzmem, rozumie papież marksizm, a nie socjalizm w ogóle. Że taki jest sens encykliki „Quadragesimo Anno” świadczy stosunek władz kościelnych do angielskiej socjalistycznej „Labour Party”...

Kogo popiera więc papież? Tych, którzy jak Labour Party stoczyli się do roli renegatów klasy robotniczej i duszą i ciałem służą imperializmowi. Ich nazywa ks. Piwowarczyk „socjalistami w ogóle”. (Oczywiście w tym celu, by tumanić nieświadomych). Ale to są, proszę księdza poprosto imperialiści (a nie jacyś tam „socjaliści w ogóle”). I na nic nie zda się mówienie o „socjalizmie w ogóle” i marksizmie — jako dwóch murtach socjalistycznych. O tym ks. Piwowarczyk wie tak samo dobrze, jak wszyscy, którzy orientują się w polityce Labour Party (tych zaś są miliony).

Z jakich jednak względów papież popiera angielską Labour Party? Czy religijnych? Poglądy nie należą przecież do kościoła katolickiego. Więc poparcie ma charakter wyłącznie polityczny. Bo bliscy są papieżowi wszelcy renegaci, imperialiści i faszyci.

Nie uda się tego ukryć nawet ks. Piwowarczykowi w zdradliwej i jezuickiej nazwie „socjalizm w ogóle”.

M. N.

Wezwanie

Ob. Redaktorze!

6 sierpnia minął rok, jak robotnicy fabryki traktorów w „Ursusie” pod Warszawą zainicjowali ruch łączności fabryk ze wsią. O znaczeniu ruchu łączności fabryk i wsi wypowiedzieli się robotnicy, działacze polityczni i społeczni. Ruch ten wzmacnia sojusz robotniczo-chłopski, uaktywnia politycznie szerokie masy ludowe, wspomaga biednych i średnich chłopów w ich walce z wrogiem klasowym na wsi.

O ruchu tym mówił na kwietniowym plenum KC. P. Z. P. R. sekretarz KC. Roman Zambrowski, że powstał on, „bo klasa robotnicza ujrzała oblicze wroga klasowego na wsi, bo otworzyły się przed nią perspektywy i drogi do socjalizmu na wsi, bo jeszcze mocniej uświadomiła sobie rolę hegemonu, kierownika w sojuszu robotniczo-chłopskim na drodze do socjalizmu”.

W rocznicę powstania wielkiego i masowego dziś ruchu łączności fabryk ze wsią chciałbym, jako stary działacz chłopski, zaapelować do pism politycznych, społecznych i społeczno-literackich. Te ostatnie wymieniam z imienia: „Kuznica”, „Odrodzenie”, „Więś” — niech to będzie dowodem że pisma tego typu nie są przeznaczone jak przed wojną dla wybranej elity — ale dla szerokiej rzeszy odbiorców w terenie, chłopów i robotników, techników, urzędników, agronomów — niech pisma te więcej uwagi poświę-

cą ruchowi łączności fabryk ze wsią. Niech ogłaszają konkursy dla uczestników ekip łączności, niech oddają głos robotnikom i chłopom, pragnącym podzielić się wrażeniami z pracy, niech zamieszczają artykuły analizujące formy i metody pracy ekip robotniczych, niech przekazują doświadczenia przodujących ekip pozostałym fabrykom i gromadom.

W wielkim ruchu łączności fabryk i wsi pisma społeczne i polityczne odegrać mogą i odegrać muszą wielką rolę.

Nauczyciel z łódzkiego.

„Wyłączyli się z życia gromady”

Ob. Redaktorze!

Proszę o zamieszczenie w Waszym piśmie kilku uwag o ostatnich wydarzeniach, jakie miały miejsce w mojej wsi. Wiem z naciskiem, że w Nadnidziu, bywało podczas wojny w tych stronach. Pamiętacie moją ocenę tej wsi, w której się wychowałem. Wyście zwracali uwagę na walkę klasową, jaka się rozgrywała na terenie wsi między bogatą klasą chłopów związaną z dworem i plebanią a biednymi chłopami i bezrolnymi, ja zaś mówiłem o zgodzie i rzekomej jedności. Okazuje się, że Wy lepiej znaliście teren, niż ja.

7 sierpnia radio przyniosło nam wiadomość o dekrete rządowym, wydanym w obronie wolności sumienia. Z inicjatywy miejscowego koła PZPR i koła Związku Młodzieży Polskiej zostało zwołane zebranie miejscowej ludności. Było to — jak się domyślamie — nie jakieś urzędowe zebranie, na którym mówcy z wyuczoną powagą powtarzają zawczasu przygotowane repliki. Przeciwnie — rozmowa, jaka się toczyła na placu przed sołtysiem, była żywa, interesująca, czasami zapalczywa, przemawiała wielu — i starzy i młodzi.

Przemawiano przeciwko uchwałom Watykanu, dyskutowano nad sposobami odpowiedzi polskiego chłopca na polityczne knowania Watykanu. I uchwalono: w odpowiedzi na polityczny krok Watykanu chłopci podejmują zobowiązanie: 1) jak najrychlejszego zebrania plonów zbóż przy uwzględnieniu jak najdalej idącej pomocy sąsiedzkiej, 2) utworzenie rady gospodarczej gromady, która by koordynowała prace poszczególnych gospodarzy i planowała na przyszłość prace w polu i prace społeczne gromady. Jako pierwsze zadanie postawiono przed radą rozplanowanie prac jesiennych w polu, 3) 6 bezpartyjnych chłopów postanowiło prosić o przyjęcie do PZPR-u na znak solidarności z uchwałami rządu.

I co powiecie? Nie wszyscy przecież chłopcy byli na zebraniu. Brakowało najbogatszych. Tym „sumienie” nie pozwoliło brać udziału w „takim” zebraniu. I oto widzicie jak interes klasowy godzi można z interesem rzekomej „wiary”.

Tych sześciu bezpartyjnych — przyszłych członków partii — to parobcy owych bogaczy, którzy wyłączyli się z życia gromady.

J. P.

(kieleckie)

Bilans S. O. M.

14 numer „Trybuny Ludu” (art. Stanisława Maruchy — „Spółdzielcze Ośrodki Maszynowe”) ogłasza ciekawe dane dotyczące rozwoju Spółdzielczych Ośrodków Maszynowych.

„1 stycznia 1948 r. było 495 Spółdzielczych Ośrodków Maszynowych; 1 lipca 1948 r. było 1104; 1 października 1948 r. było 1668, a w dniu 31 grudnia tegoż roku było już 2022 S. O. M-ów i kilkadziesiąt ich filii. 1 marca 1949 roku mieliśmy już 2368 S. O. M-ów i 1500 filii gromadzkich; 1 czerwca 1949 r. — 2599 S. O. M-ów i 3187 filii gromadzkich.

Spółdzielcze Ośrodki Maszynowe posiadały 1 stycznia 1948 r. około 4310 maszyn rolniczych, a 1 stycznia 1949 roku ilość maszyn zwiększyła się do 18.918. Na dzień 1 czerwca 1949 r. ilość maszyn osiągnęła imponującą cyfrę 103.302.

W pierwszym półroczu 1948 r. maszyny S. O. M. przeorały około 27275 ha, zasiały ok. 14688 ha, przemieciły ok. 13938 q zboża. W drugim półroczu 1948 r. przeorały już 32381 ha, zasiały 84906 ha, przemieciły 2.480.000 q. W pierwszym półroczu 1949 r. według niekompletnych danych Ośrodki zorały już 75000 ha i zasiały ponad 290.000 ha.

Równocześnie obserwujemy poważny przyrost średniej wydajności traktora, siewnika i żniwiarki, przy czym wzrost ten wynosi 100 i 200 procent. W poszczególnych wypadkach na wiosnę bieżącego roku siewniki 1,5 m osiągały 45 ha zasiewu, traktory zaś na odłogach wykonywały po 120 do 130 ha, osiągając dzienną normę 3 do 5 ha dla traktorów o mocy do 25 KM.

Pierwsza uchwała na temat Spółdzielczych Ośrodków Maszynowych zakładała, że „akcja rozbudowy SOM stanowi w perspektywie zasadniczą formę umaszynowania wsi polskiej, a zarazem ważną formę pomocy Państwa Ludowego małorolnym i średniorolnym chłopom w podniesieniu kultury rolnej ich gospodarstw”.

Rozwój SOM leży w interesie Państwa Ludowego i przyspiesza marsz ku socjalizmowi.

w.

Redakcja tyg. „Więś” poszukuje materiałów odnoszących się do historii sojuszu robotniczo-chłopskiego.

ZMIANA ADRESU REDAKCJI i ADMINISTRACJI

Zawiadamiamy, że od 1 sierpnia b. r. redakcja i administracja tygodnika „WIEŚ” znajduje się w Warszawie. Wszelką korespondencję do redakcji i administracji prosimy kierować na adres:

Warszawa, Starynkiewicza 7

Zmienione też zostaje konto P.K.O.

Należność za prenumeratę (przypominamy o uregulowaniu zaległej prenumeraty!) prosimy wpłacać na konto

P.K.O. Warszawa I — 6841

z zaznaczeniem: „za tyg. „WIEŚ”

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Redaktor naczelny - JAN ALEKSANDER KRÓL,

Redaguje Komitet

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Piotrkowska Nr 133, telefon 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOSKIEJ.

REDAKCJA RĘKOPISÓW NIE ZWRACA.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, Piotrkowska 133, telefon 100-98.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 80 — zł; kwartalnie 240 — zł; półrocznie 480 — zł; rocznie 960 — zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I — 6841 z zaznaczeniem „za tyg. „Więś”

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, ul. Zwirki 2 D-04760